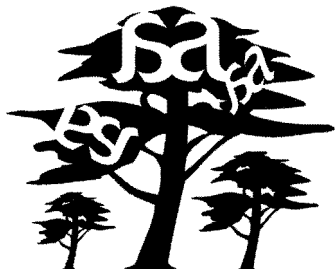


XIX  
KONKURS  
LITERACKI  
2012



„Jak rozumieć  
współwystępowanie  
egzotycznych okazów  
przechadzających się  
po tym Ogrodzie Słowa?  
Co je łączy? Zapewne to,  
że napisały się ludziom,  
którym codzienne używanie  
języka i wyobraźni  
przestało wystarczać.  
Zaistniało więc coś poza  
codzienną komunikacją...”

[ze wstępu]



XIX • KRAJOBRAZY SŁOWA • 2012

# KRAJOBRAZY SŁOWA



POEZJA I PROZA  
LAUREATÓW  
KONKURSU LITERACKIEGO

## KRAJOBRAZY SŁOWA

## XIX Konkurs Literacki, Kędzierzyn-Koźle 2012

# KRAJOBRAZY SŁOWA

Poezja i proza laureatów  
konkursu literackiego

MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA  
URZĄD MIASTA W KĘDZIERZYNIE-KOŹLU  
Kędzierzyn-Koźle 2012

Serdecznie dziękujemy naszym darczyńcom za wierność,  
życzliwość i finansowe wsparcie konkursu:

- **Miejskie Wodociągi i Kanalizacja w Kędzierzynie-Koźlu Sp. z o.o.**
  - **Urząd Marszałkowski Województwa Opolskiego**
- **Wielobranżowy Zakład Elektryczno-Budowlany „ELBOR”  
w Kędzierzynie-Koźlu**

Projekt okładki  
*Leszek Ołdak*

Opracowanie redakcyjne  
*Agnieszka Jakutajć-Zalewska*

Korekta  
*Agnieszka Jakutajć-Zalewska*

**ISBN 978-83-928693-1-3**  
**978-83-7511-137-8**



## KRAJOBRAZY SŁOWA: „OSTRE ZAPALENIE OBRAZÓW”

*Zastanawiam się nad tym, czym jest taki pokonkursowy almanach – zaludniony przez barwne osobowości, wypełniony sprzecznymi idiomami, odmiennymi stylami. Jak rozumieć współwystępowanie egzotycznych okazów przechadzających się po tym Ogrodzie Słowa? Co je łączy? Zapewne to, że napisały się ludziom, którym codzienne używanie języka i wyobraźni przestało wystarczać. Zaistniało więc coś poza codzienną komunikacją, co wysłano na konkurs, poddano ocenie.*

*W efekcie powstała książeczka zbierająca (ktoś po kłosie równa się „po-kłosie”?) nagrodzone i zauważone utwory, będąca mieszaniną intencji i skłonności, różnych chęci dotyczących ekspresji własnej i konieczności opisu. Jakiej znów konieczności? Najzwyczajniejszej w świecie konieczności sygnalizowania, że się żyje i „przeżywa”. Nie tylko w wersji oficjalnej polegającej na oddychaniu, konsumowaniu i przedłużaniu gatunku. Że się żyje prócz tego, żyje w słowie, geście, metaforze i narracji. Wiele osób tak ma – chcą zaznaczyć fakt istnienia jeszcze inaczej, chcą opowiedzieć bycie po swojemu. Niektórym udaje się nawet wyjść z tą opowieścią do ludzi. Ale teraz bardzo łatwo o publikację. Internet na dobę przeżywa niezliczone ilości tekstów. Gorzej z nadaniem znaczenia publikacji. Uważa się powszechnie, że konkursy, w tym nasz zacny konkurs kędzierzyński, nobilitują, bo nie tylko umożliwiają prezentację, lecz również nagradzają, ustalając hierarchię. Dla niektórych zaistnienie w tej antologii jest pierwszym krokiem w kosmicznej przestrzeni literatury. Zaś inni, bardziej doświadczeni, pracują już nad samodzielną książką i tylko na chwilę muszą się zadowolić okazjonalnym spotkaniem w tym przypadkowym (nieprzypadkowym?) almanachu.*

*Przeglądam jeszcze raz zauważone fragmenty. Czego dowiaduję się z nich o sobie, świecie, języku? Że wiersze „mogą być martwe od*

słów” (jak pisze jeden z nagrodzonych poetów), jeśli nie wkłada się dość serca w pisanie. Artystę można wychować, poddać rozmaitym formom edukacji, ale na nic to wszystko, jeśli w sobie nie będzie miał iskry odkrywco rozświetlającej kolejne zderzenia słów i sytuacji. Jaki z tego wniosek? Widzimy na konkursach wiele dobrych wierszy, lecz bardzo rzadko te poprawne, konwencjonalne landszafty oświetla niepokojące światło gdzieś z głębi, blask głęboko przeżytej własnej prawdy. Wyczekujemy na isierkę, która nie pojawia się zbyt często. A może prawdziwi artyści nie wysyłają na konkursy? Oj, nie sądzę. Przebijaliśmy się przez zasieki zręcznych słów, żeby trafić na coś zaskakującego, na „ostre zapalenie obrazów” sytuujące się ponad literacką przeciętnością. A nie wydaje mi się, żeby w historii kędzierzyńskiego konkursu zdarzyło się nam nagrodzić przeciętność w jakiegokolwiek postaci.

Wszystko to inaczej wygląda, jeśli chodzi o prozę. Inaczej się ją czyta, inaczej ocenia. Obraz musi wynikać z sytuacji, a ta mieścić się w szerszych ramach przemyślanej narracji. Czym innym jest fragment powieści, zaś zupełnie czym innym zapięte na ostatni guzik krótkie opowiadanie. Tu trzeba na kilku kartach pomieścić z wdziękiem to, na co powieść potrzebuje stron o wiele więcej. Juror szuka więc zarysów skończonego, samowystarczalnego świata, konsekwentnie wyjaśnianego przez kolejne gesty bohaterów i posunięcia narratora. Takie rzeczy przykuwają wzrok i zwiędzają. I tak, jak sądzę, było tym razem w Kędzierzynie-Koźlu.

Oczywiście, że jurorzy zawsze mają lepiej. Cierpiąc z powodu nadmiernej ilości tekstów słabych, ukojenie znajdują w decydowaniu, w oddzielaniu ziaren od plew, w promowaniu literackiej niecodzienności. Widzą całość, z której mogą coś zdecydowanie odrzucić. Czytelnik tej książeczki nic nie wie o tej hipotetycznej całości. Ale to może i lepiej. Będzie czytał nagrodzone teksty z zainteresowaniem i przejęciem, z poczuciem odkrywania nowego spojrzenia na świat. Bo takie właśnie wartości towarzyszyły przy lekturze nam, jurorom.

Karol Maliszewski

IZABELA WAGEMAN  
godło: „No to sza”

Nagroda Marszałka Województwa  
Opolskiego w kategorii poezji



*IZABELA WAGEMAN – nauczycielka z Kędzierzyna-Koźla. Pisze wiersze i prozę, w miarę potrzeb redakcji Salonu Literackiego również teksty publicystyczne. Zadebiutowała gdzieś po drodze do wydania książki poetyckiej „W oszukiwaniu snu”, która ukazała się w maju 2011 roku nakładem serii wydawniczej SL. Ma 36 lat.*

## UNDERGROUND

stare miasto. jak inne stare miasta zakrzepłe historią.  
mokre mury, chore fasady, bielmo okien.  
cadyk, cmentarz, wapno odpadające od ścian  
i kości. w tej bramie. przy tej ścianie. za tamtym parkanem.

a jednak jest coś pod skórą tego miejsca.  
pełza w zaułkach, ślini się, sapie wilgocią parującą z piwnic  
i spierzchniętych ust. sunie w cieniu brudnych firan,  
zmurszałych balustrad galerii. kryje się w przymkniętych oczach  
wytchnionego poety, pijanym bruku i oszczanej ławce.

uciekam. klaryski tępo zaglądają mi w twarz. mną habity  
i słowa modlitwy w wąskich ustach. kiwają na pożegnanie  
miotłami w lewo, w prawo. uciekam. za mną, przede mną,  
przy mnie kłęby kurzu.

## ALTER EGO

gdyby mnie skopiować mógłbyś całować moje ucho  
zanurzać twarz w dekolcie słuchać zachwyty nad czerwonym  
liściem  
przyklejonym do obcasa pani wyprowadzającej na spacer  
lisa o szklanych oczach

moglibyśmy znikać za pniami zbyt szczupłych drzew i martwić się  
o nadmiar światła skapującego z liści za kołnierze  
śmiałybym się z nieporadności kulinarnych w lokalnej kawiarence  
odrapanych stolików herbaty z torebki

gdyby mnie skopiować trzymałabym twoją twarz w dłoniach  
ścierała kciukami wilgoć z górnej wargi obrysowywała linie brwi  
wymykała spojrzeniu i niknęła w szaliku odcinającym ramiona  
od szarego tła dni następujących po dniach

mogłabym też nie myśleć  
że to nie ja odbijam się w kałużach tęczęwek  
wychodzę właśnie z lasu za którym zaczyna się czas  
ta głęboka studnia z zatrutą wodą

## KONWICKI I JA

chciałam napisać o Helenie. o jej wolności w niewoli *Bobinia*.  
o dreszczu. przeczuwaniu burzy w suchym gęstym powietrzu.  
chciałam napisać o podskórnych wstrząsach kobiety  
i ziemi, które spocone oczekiwaniem omdlewały w ramionach  
krzyży i pustych okien. nigdy nie otwieranych ustach,  
wiecznie otwartych oczach utkwionych w suficie. nocach  
jak przeszłość i przyszłość umarłych a potępionych  
za życia. rozdartych snach, godzinach, kartkach w szufladzie.

chciałam napisać o dzikim kminie i liściach paproci zarastających  
ogrody i drogi. o białoruskim proboszczu zgubionym gdzieś  
pomiędzy ulami a rzędami ogórków. chciałam. a piszę o sobie  
i wnuku Heleny.

oboje byliśmy tam, kiedy Bóg spał, a jego *lepszemu bratu*  
wycinał pnie  
ludzi. potem spławiał je wezbraną rzeką. wróciliśmy przecież.

#### PUSTE POWIEKI KAMIENI

twarze posągów są kłamstwem  
kamienie nie żyją nie umarły nawet  
zastygły bezmyślnie post factum dzieła

udają westchnienie powietrzem dryfuje pędzel  
na ustach zakwita plama czerwieni  
i strach przed opieszałością pigmalionów

kruszeją skulone ramiona kaleczą oczodoły  
wstyd opada na piersi jak strzęp lnu

pot płynie skronią

#### ULTRASONOGRAF

tej jesieni kasztany mają pęknięte źrenice  
światła mniej czarniej widać pnie liście i ławki  
sumaki odbarwiają czerwone słońca  
zanurzone we mnie po pępek

oddycham spokojnie i płytko  
(czuć zapach pieczonych ziemniaków)  
próbuję ugasić ognisko  
na echo ujemnym obrazie

MAŁGORZATA  
STACHOWIAK-SCHREYNER  
godło: „Wszystkofobia”

Nagroda Prezydenta Miasta  
w kategorii prozy



*MAŁGORZATA STACHOWIAK-SCHREYNER – z wykształcenia ekonomistka, ale pracuje jako instruktor teatralny. Otrzymała ponad sto nagród na konkursach literackich. W roku 2005 wydała tomik „O czymś”. Jej teksty ukazały się w antologiach, prasie literackiej i internetowej. Najważniejsze dzieła – córki Julka i Emilka. Ma 37 lat.*

## ŚLADY

Nie rozmawiam z aniołami. Nigdy nie miałam takiej potrzeby. Zresztą są one w S równie rzadkie jak dziewice. Nie wiem, co mnie tu przyniosło, chyba nic. Dryfowałam swobodnie w lepkiej duchocie sierpniowego powietrza, w zapachu gnijących na klombach przy alei Niepodległości mirabelek. W rudym kurzu lewitującym w bezwietrznej przestrzeni poruszanej tylko niespiesznymi krokami przechodniów, z których każdy jest znajomym, krewnym, krewnym znajomych, znajomym krewnych, aż znalazłam się tutaj.

Na wyłożonej rozgrzanym od upału, burym granitem podmurówce rozsychającego się misyjnego krzyża śpi chudy, czarny kot. Nie obchodzi go czarno-biała zakonnica prowadząca do zakrystii klekoczący błotnikami, wiekowy, męski rower, ale moje przyjsście sprawia, że nieco uchyla jedno żółte oko i przeciąga się demonstrując finezyjnie gibkość kociego ciała.

– Cześć przyjacielu – wyciągam dłoń, jako zdeklarowana, nałogowa kotoholiczka, ale dzikus zręcznie uchyla się przed pieszczotą i nagle rozbudzony, znika szybko w szczelinie uchylonych, masywnych drzwi starego kościoła. Przymierzam dłoń do metalowej klamki pokrytej ni to patyną, ni to wypolerowaną rdzą i w akompaniamencie piekielnego wycia starych zawiasów wchodzę do środka.

Chłodniej. Półtorametrowe gotyckie mury działają jak najlepsza klimatyzacja. W powietrzu unosi się wielobarwny od światła sączonego się przez witraże kurz. Rozedrgane tęcze prosto z błękitnych, zielonych, czerwonych powłóczystych szat szklanych archaniołów i świętych, w barwnych plamach drżą na drewnianej, brudnej podłodze. Jako dzieciak uwielbiałam zatrzymywać się w tych miejscach, bo można było pobyc przez chwilę księżniczką elfów albo zaklętą królowną. Zielone owale tańczą po moich pantoflach. Panie i panowie – Barbie i sekret wróżek u progu klimakterium!

Siadam na brzegu przedostatniej ławki. Z lewej kłocowata chrzcielnica. Mało oryginalny produkt z lastriko jakiegoś kamieniarza z czasów peerelu. Pewnej zamierzchłej wiosny mnie też do niej przynieśli. Obok żółty jak oczy mojego przewodnika (swoją drogą, gdzie on przepadł?) paschał z czerwonymi gruzłami ran Chrystusa. Przy nim, trochę w głębi wciąż ten sam psychodeliczny ołtarzyk świętej Tereski z Różą. W podstawówce baliśmy się śmiertelnie siadać w pobliżu, bo zdawało się, że obraz zmienia wyraz twarzy – raz uśmiecha się szeroko, raz nieznacznie i z niezadowoleniem. A zawsze wpatruje się świdrującymi, błękitno-fioletowymi oczami dokładnie prosto w nasze. Po prawej w drugiej bocznej nawie, w bliźniaczo podobnej, machniętej na olejno byle czym i nieodzownym złotołem, drewnianej klęczce Matka Boska Częstochowska. Zabrali jej wiszące obok obrazu jeszcze dziesięć lat temu na pluszowych poduchach wota. Szkoda – była tam w końcu i mała złocona ikonka, takie ci kuriozum na rzecz dialogu z prawosławiem, a wszystkie te łańcuszki, koraliki, blaszki były dowodem, że zdarzyły się komuś cuda prawdziwe czy przypadkowe. Ktoś został wysłuchany...

Tam siedziałam, obok tych poduszek – ławki te same, co w sierpniowych czasach mojej pierwszej komunii. To była chyba jedna z pierwszych w życiu porażek. Welurowa sukienka pożyczona od sąsiadki, ciepła i drapiąca pod szyją falbankami naszytymi z za gęsto poprzymarszczanego firanowego tiulu, loki, te cholerne loki poskręcane przez noc na gazetowe papiloty, a rano rozczesane w rozczapierzone na wszystkie strony siano. Byłam tak potwornie nieszczęśliwa, że wyglądałam okropnie i nikogo to nie obchodziło. Tak jak wtedy, kiedy wysłali mnie do tego kościoła w paskudnym beżowym, sztucznym misiu po starszej siostrze, a ja siedziałam za filarem od ambony w nadziei, że nikt mnie nie widzi i nikt się nie śmieje. Jakie głupiutkie są te nieszczęścia sprzed trzydziestu pięciu lat, a jednak przecież moje własne.

Główny ołtarz w kształcie trzywieżowego, strzelistego kościoła też, gdzie się dało potraktowany złotołem, jak to na prowincji. Z boku zamiast skrzydeł dwie figury już polskich świętych, ale nie mam pojęcia, kogo. Jeden w biskupiej tiarze, drugi w uniformie zwykłego księdza, obaj ponurzy, obaj z dziwnego żółto-beżowego kamienia przypominającego sól. W głównym ołtarzu Chrystus ukrzyżowany ścieka w mrok ciemniejszego werniksu, bo przecież za katolików nikt go nie konser-

wował. Za katolików, bo obraz jest przechrzczony z ewangelickiego w czterdziestym piątym, tak jak i cały kościół, i całe miasteczko, gdzie co się nie dało nową nazwą i kropidłem, to się przechrzciło ciężkim sprzętem, tak jak niemiecki cmentarz w centrum i żydowski za miastem, z którego macewy służyły jeszcze latami do zatykania studzienek kanalizacyjnych i szamb. Śmierć wszystkich równa. Jakiś średniowieczny średnio zdolny, nieznany Niemiec nie przewidział, że jego Chrystus będzie jeszcze wisiał sześćset lat później, spływając w ogarniającą go coraz szczelniej ciemność. Dwa dni temu widziałam żalosne powykęcane truchło rozdeptanego winniczka, a dzisiaj właściwie ledwo ślad został. Wsiąknął, zmienił się w ziemię, a Chrystus zmienił się w bezszelestny mrok czający się w bocznych nieoświetlonych nawach. Jest w tym coś z symbolizmu i smutku, jakby wszystko było na próżno.

U jego stóp można jeszcze dostrzec twarze Marii i Jana właściwie jednakowe. Długowłose, jakby za kobiety Jan i Maria, jakby zbyt męska. Zapatrzeni w próżnię w jakiejś przerysowanej pozie półkrzyku, półcierpienia, hermafrodyty o sklonowanej twarzy jednego modelu połączeni pępowiną czerni. Niemiecka oszczędność.

Pamiętne to były czasy, kiedy za nawiedzonego proboszcza Catkiewicza odbywały się przed tym ołtarzem wyłącznie zbiorowe śluby, choć nikt wtedy jeszcze nie słyszał o sekcie Moona. Dwanaście lat temu ja też składałam przed nimi swoją jedyną przysięgę małżeńską. Bez egzaltacji, raczej wierząc, że robię coś bardzo właściwego i potrzebnego. Nie pamiętam z niej ani słowa. Pięć minut po, pewnie też nie pamiętałam. Pięć dni później powód ślubu wyslizgnął się ze mnie lepką strużką cieplej krwi, ale było po. On powiedział, że nic się nie stało. Lubiliśmy się. Mało namiętnie, raczej jak brat i siostra. Nie ingerowaliśmy w swoje życiorysy i nie stawialiśmy wymagań. Po dwunastu latach nie wiem, kto jest bardziej mężczyzną, kto kobietą – wedle potrzeb. Nie wchodzimy sobie w drogę i w jednym mieszkaniu udaje nam się poruszać po zupełnie oddzielnych, niestwarzających konfliktu orbitach. Jednocześnie staliśmy się przerażająco do siebie podobni, nieruchomi, jak Maria i Jan, z ołtarza otoczeni zastygłą, a jednocześnie podpełzającą ze wszystkich stron ciemnością, przez którą ciepłą, lepką strużką wycieka z boku Chrystusa ich ostatnia nadzieja. Nic się nie stało.

Drzwi z drugiej strony rozdarły doskonałość prawie dotykanej ciszy upiornym jękiem. Do kościoła wdreptała kłocowata, spłowiła

blondynka po sześćdziesiątce. Przeszła obok przyklękając pobożnie na środku. Został po niej ten pudrowo-ziółowy zapach perfum, jakich używają chyba wszystkie emerytki. Usiadła z przodu. Modli się, ale ciekawość nie do opanowania każe jej zerkać ukradkiem w moją stronę. Znowu drzwi – tym razem dwie – wysoka, siwa z kokiem i tłusta w swetrze i berecie, choć na dworze chyba ze czterdzieści stopni. Następne, następne na przemian przez główne, lewe i prawe drzwi. Szeleszczą, stukają, moszczą się na swoich grzędach – dwadzieścia jeden starych kur. Któraś intonuje niezidentyfikowaną Jezusową litanię, która odbija się jakimś pradawnym echem we wnętrzu mojego mózgu. Echo pachnie jasnymi, ciepłymi dłońmi mojej babci, żółtymi wiankami z rozchodnika, ziół i pączków dzikiej róży, które po poświęceniu zbierała w poszewkę od jaska na trumienną poduszkę. Monotonne, śpiewne, kolejne strofki litanii zatrzymują się na chwilę w powietrzu i rozplývają w wiszącym pod chórami półmroku. To jak hipnoza. Powieki zaczynają ciężać i żeby nie zasnąć zaczynam wyobrażać sobie czy starsze panie tak samo gorliwie mantrowałyby, gdyby w głównym ołtarzu były powiedzmy „Narodziny Wenus” Botticello. Z lewej zamiast biskupa z soli, lubieżnie spleceni ze sobą, półnaczy Zefir i Chloris. Tacy demoniczni, bezwstydni o wielkich czarnych skrzydłach posłańców Szatana. Ale za to w deszczu damasceńskich róż – jakby zesłała go sama Upiorna Tereska rezydująca obok. Po prawej posągowa biała Eirene – ukwiecona i niewinna, podająca czerwony płaszcz zmartwychwstania lewitującej na ni to falach, ni to podmuchach wiatru Wenus. Tej centralnej golizny pewnie by panie nie zniosły. Nawet, gdyby im wmówić, że to narodziny najświętszej Marii Panny. Chociaż, przecież w nagości Wenus nie ma nic bezwstydного. To taka niezawiniona nagość narodzin bez wyuzdania, za to nawet wstydlіwa. Albo Magdalena – de la Tour’a – czarnowłosa, ciężarna żydówka-ladacz-nica. Choć każda ze świątobliwie rozmodlonych przede mną wie, że Matka Boska jest żydówką, jednak jest to dla nich jednocześnie straszliwe bluźnierstwo. Nic nadzwyczajnego, zwykłe polskie rozdwojenie katolickiej jaźni.

Magdalena wpatrzona w płomień. Obłożona kolekcją symbolicznych rekwizytów, piekłem i niebem, życiem i śmiercią, wiedzą i pustką, wiarą i przekleństwem, czystością i wyuzdaniem, z których wszystkie doskonale jej nie obchodzą. W mroku pokoju obojętna i odwrócona

ku jednemu jasnemu punktowi patrzy gdzieś poza. Patrzy we własną ciemność. Włosy opadają na ramię, głowa jakby z trudem opiera się nadludzkiemu zmęczeniu. Święta grzesznica sama jest rekwizytem w martwej naturze świata. Widzę jej obciążony krwistą czerwienią brzemienny brzuch, zamiast którego dotyka delikatnie ludzkiej czaszki, jak łba ulubionego psa – życie i śmierć. Życie i śmierć, śmierć i śmierć, czuję to samo obezwładniające znużenie.

Gdybym nagle zniknęła? Moje bycie i niebycie jest bez znaczenia. On powie: nic się nie stało i wyjdzie do pracy, a za pięć lat nikt nie będzie pamiętał mojej twarzy i imienia, i naprawdę nic się nie stanie. I tak samo z milionami innych. Całe to smrodzenie o bezcenności życia to tylko niesmaczny, medialny show. Dzwony biją. Nie lubię dzwonów. Naruszają spokój. Zaraz kohorta albo i legion staruszek zacznie szturmować wejścia. Nie mam ochoty wyrwać się z przytulnego odrętwienia, ale wychodzę. W ciemnym przedsionku czuję na łydce miękką przyjazny dotyk kociego futra, ale nie mogę dostrzec właściciela. Przewodnik pożegnał się i zniknął?

Popycham masywne drzwi i nagle chłodne powietrze uderza mnie w twarz. Kocie łby przed kościołem połyskują lśniąca politurą niedawnego deszczu. Popołudniowe słońce odbija się na nich języczkami ognistych refleksów. Miedziane paszcze rynien rzygają z impetem spienioną szaroniebieską wodą. Ostatnie krople wbijają się w oczy, policzki, ramiona jak chłodne szpilki. Osusza je zbudzony nagle nie wiadomo skąd wiatr. Zanurzam się w nim i oddycham pełną piersią, nasycam się zapachem ozonu i wszechobecnym, migotliwym światłem. Tuż przede mną na bruku siedzi kot. Obojętny na wszystko, pochłonięty wyłącznie kocią toaletą, z gracją przesuwając puszystą łapę po zupełnie suchym futrze. Nieskazitelnie białym.

ELIZA MORACZEWSKA  
godło: „czwarta rano”

I nagroda w kategorii prozy



*ELIZA MORACZEWSKA – pochodzi ze Szczecina. Na studia wyjechała do Poznania i tam mieszka do dziś. Ukończyła kulturoznawstwo na Wydziale Nauk Społecznych Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza. Od lat pracuje jako pilot wycieczek. Dotychczas wyróżniona w kilku konkursach poetyckich. W dziedzinie prozy jest to jej debiut. Ma 33 lata.*

ONA. JA.  
PROZA DYGRESYJNA

A kiedy przyszła do mnie, nie była, jak się spodziewałam, ani gwałtowna, ani lodowata. Najpierw poczułam jej zapach, co był jak wiatr od morza. Tak pachną ludzie na wybrzeżu, ci, którzy nic już nie mając, niczego się też nie spodziewają. Są jak rozsypujące się, przeżarte solą budynki, których zaprawa wysypuje się wszystkimi szczelinami. Wydawać by się mogło, że te domy pragną wyzwolić swe konstrukcyjne podwaliny, odsłonić trzewia, być wreszcie cegłą i kamieniem, kamieniem i cegłą, niczym więcej. Trzęsą się więc i dygocą, a cementowy pył wykrusza się żółtawymi, równie jak one skorodowanymi grudkami. Wbrew pozorom wcale nie pachną solą, tylko wiatrem i słońcem, a słońcem najbardziej, ale ta sól jest jednak wszechobecna niczym powietrze. Sól jak powietrze (bezwonne, bez koloru, bez kształtu) niezauważalna – nie podlega refleksji. Mimo to niosą ją we włosach te bezdomne psy, brudne i z poszczerbionymi szczękami, ludzkie bydlęta, co bełkocą o gwiazdach – tych zawsze dla wszystkich dość i nie mają swej rynkowej ceny – i niosą ją ptaki w puchu pod lotkami. Przesycone nią na sznurach tłoczy się białą watahą pranie, schnące od razu i bezodwoalnie w białym żarze, mieszając z nim własną biel, żarze, który aż dygoce z wysiłku i przepełnia ości ryb ledwie wyczuwalnym cieniem jakiegoś egzotycznego podmuchu. To też sól. Niewielu jednak ssie ości, ostrożnie żuje przypieczone płetwy. Niewielu zgaduje załączek zbawienia poprzez połączenie wspólnym mianownikiem wszystkich rzeczy: cegły, ogorzałej winem i słońcem twarzy, ptaka, prania i tych niechcianych przez nikogo resztek.

Pachniała więc wytrawną mieszkanką piżma i delikatnego, mlecznego kremu, ale pod spodem, na samej granicy wyczuwalności, od razu zgadłam ten zapoznany, lepki i chrzęszczący piaskiem pod paznokciami solny podmuch. Najpierw, zanim jeszcze otworzyłam oczy,

poczułam jej zapach. Potem dłoń, czyli ciepło. Skórę miała chłodną, ale cienką jak jedwabna poszewka i niczym przez ten jedwab ciepło jej krwi przeniknęło na zewnątrz i zacisnęło się na moim ręku pięcioma cienkimi palcami. Jaka ciepła dłoń – pomyślałam.

Pochyliła się nade mną. A kiedy się nade mną pochyliła, pochyliła się młodość i przeczualne piękno. Ptasi puls, jakby skądś biegła i nagle, wpół kroku, przystanęła, przyklękła i złapała mnie wpół zapachem, ciepłem i wreszcie – tą swoją delikatną dłonią. Nic się pani nie stało? – tak tylko powiedziała, choć pewnie chciała zapytać. A ja nie wiedziałam, co odpowiedzieć i w następstwie tego zrobić; pewnie tę konsternację miałabym wypisaną w oczach, gdybym tylko je otworzyła. Skoro jednak były zamknięte, postanowiłam, że pozwolę jej jeszcze mnie dotykać i pozwolę jej jeszcze do mnie mówić. Tak, mów do mnie, nie zostawiaj mnie, chcę, żebyś była i żebyś mówiła, udowadniając to swoje bycie i żebyś mnie dotykała, udowadniając to swoje bycie, a jeśli wreszcie otworzę oczy, żeby nie okazało się, że świat zastanę innym i nie będzie już ani tego zapachu, ani głosu, ani dotyku. Więc mów do mnie i mnie dotykaj, dotykaj mnie i mów.

A kiedy ujęła mnie swoim zapachem i zaraz potem ujęła mnie swoją drobną dłonią, wiedziałam od razu, że ten zapach nie może być męskim zapachem, że ten dotyk nie pochodzi od mężczyzny, że nie on wypowiedział te słowa. Dotyk był niecelowy, miał zawiązać pakt, miałam zamknięte oczy, więc ów dotyk miał mi powiedzieć, że oto jest, niedaleka, całkiem bliska, pochyła się i jednocześnie daje mi namacalnie do zrozumienia, że się pochyła, że jest całkiem bliska, że jest niedaleka. Mężczyzna nieomylnie chwyciłby za puls, od razu przewierciłby mój przegub swym celowym spojrzeniem, aby chwilę potem chwycić dwoma palcami, kciukiem i środkowym, mam cienkie przeguby, więc może raczej kciukiem i wskazującym, dociskając je na tętnicach, badając – zamiast koić, sprawdzając – zamiast zapowiadać. Dotyk kobiety nic takiego nie czynił, miał mnie tylko uspokoić, co do jej bliskości. Ona nie pomyślała, że puls, może jeszcze pomyśli, ale nie teraz, może pomyśli potem, może nawet wtedy, gdy już będzie za późno, a wówczas to poniewczasie pomyślane wpędzi jej ptasi puls w popłoch i wyklnie się od głupich, ale i tak wcześniejsze pomyślenie nic by nie pomogło, bo w żadnym razie nie mogłaby w tak celowy, męski sposób ująć za mój cienki przegub; mogła tylko i wyłącznie

dotknąć mojej dłoni albo ręki tuż pod kantem łokcia, bez żadnych ukrytych myśli. Tak też i zrobiła. Dokonało się. Podeszła z zapachem. Pochyliła się z pytaniem. Dotknęła bez intencji dotykania.

Jej piżmowy zapach zatoczył okrąg i przysiadł w miejscu, wypełniając szczerze przestrzeń daną mi, daną jej, w tym konkretnym czasie, w tym konkretnym punkcie. W pierwszym odruchu pomyślałam, że jest zbyt intensywnie, tak, jakby za chwilę miało stłoczyć się i zagnieść, uformować i przeistoczyć, jak gdyby owo „ja” i „ona”, oplecione słoną wodą zawieszistej, zapachowej zupy, miało utworzyć „nas”. Jakieś „my” w oparach od morza i jednocześnie nie od morza, wypływające z jednej z nas i z drugiej, więc wypływające z nas, momentalnie jednak odrywające się od swego źródłosłowu i tworzące ramę o zewnętrznych cechach umacniających naszą wspólną odrębność. Tak właśnie. Ale nie tak. Bo moje pierwsze wrażenie było mylnym wrażeniem. Intensywność pierwszego kontaktu okazała się złudna, tak jak to piżmo, które niosło przecież pod spodem o wiele bardziej trafną sól. Tak też i balon z zamkniętą w środku „mną” i „nią” rozpierzchnął się, zanim zdążył uformować. Został błady niepokój, jak zapowiedź tego, co być by mogło. Skoro jednak w ten sposób – przestałam się sobie opierać i już bez najłżejszego wstydu jej nie odpowiedziałam.

Niemniej się dokonało i wiedziałam już, że muszę ją przeprowadzić na drugą stronę. Bo kiedy przyszła do mnie, wiedziałam już wszystko. Że doskonale pływa i robi to chętnie, choć może nie o tej porze roku. W otępieleń kotłowaniu ciała, opakowanych szczelnie cętkowanym i paskowanym nylonem, poliestrem, lycrą, nie czuje się u siebie, więc zasiada pod najdalszymi parasolami najdalszych plażowych kawiarni i przez zmrużone oczy wypatruje wahania tej kotłowaniny ciała, luki między paskiem a cętką, aby wpleść weń swój osobny detal. Że wypatruje luki jak sęp zdobywcy kocia wygiętymi oczami, a jednak mówi, że to kształt migdałowy i wpatrują się w kocie wygięcia i komplementują, że chciałyby i markują zawiść czułymi cmoknięciami. Że najpiękniej jej w szmaragdowym odcieniu zieleni, a jednocześnie nie ma żadnej części garderoby, która choćby zapowiadała ów odcień, sugerowała go, przywodziła, czyniła stosownym delikatne napomykanie. Tyle że czasem, gdy jest sama i podchodzi do muzealnych gablot, to między perłami i kryształami nieomylnie zatapia wzrok w szmaragdach, tyle że, nie wiedzieć czemu, zatrzymuje się w pół kroku w rozje-

chanym poboczu drogi, aby wysiąść z samochodu i zakleszczyć widok eutroficznego jeziora pod pochylnią pamięci. Że w przeciwieństwie do niewielkiej grupy kobiet bojących się ciem – tłustych i oszronionych gęstym, popielatym włosiem, wzdrga się pod dotknięciem ptasiego puchu, a zresztą puchu jakiegokolwiek proveniencji, stąd nigdy w życiu nie przyszłoby jej do głowy, żeby kupić sobie futro. Że ma ich kilka, bo narzeczony widzi w niej Boga, a z Bogiem kojarzy mu się monarszy majestat i idący za nim przepych. Ale ona nie nosi, a on nie widzi, że ona nie nosi, bo przecież widzi w niej Boga, więc nie potrafi krytycznie objąć wzrokiem detalu, aby go zauważyć i podważyć, rozpoznać i sklasyfikować. Stąd tylko krok do nienawiści. Od miłości do nienawiści – szepczę do siebie z cicha, a zaciśnięta na mojej dłoni dłoń płonie wstydem. Nie dość. Przecież wiem wreszcie, że wieczorami, kiedy po upalnym dniu otwiera okno, trzykrotnie wdycha stęchłe powietrze, co kojarzy się jej z corocznie odwiedzaną w dzieciństwie nadjeziorną wsią. Pamięć słodkiej, stojącej wody, zamulonej i zamkniętej wywołuje leciutkie drżenie. Woli nie pamiętać i nie pamięta, ale nawyk pozostał i choć ona już o nim nie wie, ja w tej chwili wiem. Bo wiem wszystko.

Gorąco jej skóry powoduje mój udar. Temperatura krwi podnosi się o kilka kresiek i już nie słabnę, ale mdleję, ostatecznie odrywam się, tracąc kontrolę i nad sobą i nad nią. A kiedy otwieram oczy – wszystko staje się naprawdę i wreszcie widzę ją tak, jak widziałam wcześniej, ale tym razem w najbardziej klarownej rzeczywistości. Słońce prześwieca jej przez włosy i tworzy glorię tej realności, mandrolę wielbiącą prawdę tego, co realne i poprzeczmyślowe. I – to jedynie przez przypadek – tak inne od tego, co uprzednio przeze mnie przeczute. Nie, nie – mówię – to zapewne tylko pozór spowodowany odmiennymi dekoracjami. Bo przecież kiedy zamknęłam oczy, pamiętałam tło wszystkich rzeczy: poprzecinane obłą linią promenady, upstrzone stoiskami z pamiętkami i budkami, gdzie w potężnych saganach gotuje się bób i kukurydzę. To na tym tle nastąpiło zerwanie i tam też ją zobaczyłam, a teraz siedzi zupełnie inaczej, gdy powinna stać, a potem nachylać się, a przecież siedzi w wiklinowym fotelu. Ma nieobecne spojrzenie i pochyla się nad sobą.

Zasłaniam się pytaniem, czy ona mnie widzi, czy widzi mnie teraz, czy widziała tylko wtedy, a może i wtedy, i teraz, albo ani, ani. Patrzy co prawda, ale jakby nie widzi, uśmiecha się, ale tak, że wychodzi

na to, że uśmiecha się tylko do siebie, nie przeznaczając dla mnie nawet setnej części tej wymalowanej na twarzy pogody. To dlatego, że wybladły rumieniec zszedł z mojej twarzy – tłumaczę sobie. Tylko dlatego. Wtedy nie miała podobnych wątpliwości; kiedy się nade mną pochylała, była tylko troską, zaciągnięta białkiem tej troski w kształt, a raczej bezkształt ciasta, co wszystko wypełnia aż po najdrobniejszą szczelinę. To dlatego – tłumaczę sobie. Ale nie wiem, czy wiem to na pewno. Czy na pewno wiem?

A przecież zanim pomogę jej przekroczyć niewidzialną granicę – muszę wiedzieć na pewno, że to ona i że jest gotowa. Tymczasem teraz już o wiele bardziej przypomina mężczyznę i żeby przywołać jej kobiecość, muszę na powrót zamknąć oczy. Wówczas zapach i kształt tężeją w spokrewnione zapachy i kształty, wszystko wyostrza się, widzę ponownie o wiele wyraźniej i ponownie spływa na mnie wielkie uspokojenie.

Jak mam mówić, żeby mnie usłyszała? Milczę, a przecież powinnam mówić. Nie, nie tu, nie teraz. Teraz jest już o wiele za późno. Powinnam była długo, długo mówić do tej pory, żeby nauczyć się dobierać słowa tak, aby przygotować się na jej spotkanie, aby właśnie teraz odnaleźć słowa, które sprawiłyby, żeby mnie usłyszała. Gdybym wcześniej rozpoczęła tę naukę, być może powoli, z człowieka na człowieka, a potem również z kobiety na kobietę, słowa zaczęłyby coraz silniej przylegać do linii ciała kolejnych osób, później również kobiet, a nawet – być może – udałoby im się włamać: przerwać cienką, opalizującą czerwono błonę, gdzie woda zmienia swą temperaturę, przerwać fosforyzującą powłoczkę wokół skóry i wypłynąć na lodowate wody zrozumienia. Wedrzeć się za pomocą słowa, czyli wytrychu, do człowieka. Tego, tam. Tamtego, wtedy. Jeśliby usłyszał mnie ktokolwiek, z kolejnymi poszłoby już łatwiej. Wiedziałabym wreszcie, jaki jest schemat poruszenia. Teraz zaś, kiedy siedzę w cieniu, a tylko dwa niewielkie kroki dzielą mnie od południowego słońca i patrzę na nią, albo nie patrzę – nie odnajduję również najdrobniejszej głoski, która mogłaby złamać jej opanowanie. I dłaczegóż to chciałabym móc je złamać? Chowam twarz w dłoniach, żeby nie zauważyła szaleńczego ruchu gałek ocznych pod cienką warstwą powiek i żeby nie usłyszała, nie wyczytała z tego drżenia gorączkowego poszukiwania słów. Mogłaby opacznie zrozumieć, w końcu jest kobietą, a tymczasem ostatnią

rzeczą jakiej pragnę, jest to, żeby zafalszować sytuację. I tak jest naga. Nie wyczuwam wokół siebie słów zbawczych, zbawczych słów nie przeczytałam, więc nie zjawiają się obecnie jak na zawołanie, niemniej jednak spróbuję uratować chociaż tę ciszę i nie pozwolę, aby przeczytała choć słowo z tych, których jej nie podsunę hojną ręką. Ma dość. Jest dobrze sytuowana. Pewność siebie wyssała z mlekiem matki. Dostała wszystko i nie trzeba jej więcej. Więc jednak może nie będzie nikczemnie przymilała się o ostatni bastion? Może pozwoli mi odsłonić tę sytuację w wybranej przeze mnie formie?

Milion wyobrażonych sytuacji, tysiące wydumanych, hipotetycznych miejsc z hipotetycznymi ludźmi w hipotetycznych konfiguracjach. Mężczyzna, który prosi o rękę, kobieta, która siania się pod ciężarem siatki z zakupami, dziecko, które tonie. Nic nie przygotowało mnie na tę tutaj, która zakleszcza mnie swoim spojrzeniem i odejmuje zdolność do kolejnego oddechu. Co ona widzi, czego nie widzi? Zatrważa mnie bezradność tego pytania już w chwili, w której je wypowiadam. Jakieś mętne oczekiwania, których kontur rozplywa się w upale dnia, nie pasując w żadnej mierze ani do rozwrzeszczanego dziećmi piasku, ani rozpalonego morzem nieba. A może do morza rozpalonego niebem. Ona coś wie, coś, czego nie sposób przeniknąć, coś, co być może ma związek – jeśli już w ogóle z czymkolwiek – to z mewami, które krążą daleko nad rzucającą sieci barką, krzycząc tak przeraźliwie, że aż tutaj słysząc ich zawodzenia. Ale czy wie naprawdę? Nie wygląda na to, choć czepia się natrętnym spojrzeniem mojego biustu i zastyga chciwym spojrzeniem na końcu mojego rozżarzonego papierosa. Przecież nie zapytam, czy chce zapalić. Pytam. Kręci głową. Najpierw z roztargnieniem, potem już zdecydowanie, aby pod koniec odmownego gestu wpleść w to swoje poruszenie tyle rozpacz, ile tylko ta pospolita odpowiedź na najzwyklejsze pytanie jest w stanie w sobie unieść i nie rozpęknąć się przy tym w jakiś absurd bez pokrycia. Jej gesty mają w sobie coś z szaleństwa. Każde zgięcie ręki w przegubie jest tak dosadne, ma w sobie tyle gniewu, żalu, rozgoryczenia, że mogę patrzeć tylko kątem oka, aby nie czuć zażenowania. Jest intensywna aż do karykatury. Przypomina kobietę z najkłikszych włoskich oper, gdzie heroina jest sytuacją w takiej mierze, że nie sposób określić, gdzie kończy się bohaterka, a rozpoczyna akcja. Tak, to jest ów klucz. Tak, teraz mogę spojrzeć na nią przeciągle, namiętnie

zaciągnąć się papierosem. Ona mnie uwielbi i wyciągnie ostateczną konsekwencję z fluktuacji dymu, z odprężenia moich ramion. No i dokonało się.

Cioteczka Marianna radosną ma buzię i okraj jej sukni pieni się kwieście, a gdy wędruje ulicami potrząsając kokardami – zaś wędrownica ta nosi wszelkie znamiona tańca – koty, widząc jej błędne spojrzenie, uskakują w zacisza kamienicznych bram. Wysysa dzieci z mieszkań. Starczy jeden brzdąc, który wypatrzy ją, wtańczoną w wewnętrzny układ, starczy drugi, który w oknie naprzeciwko, zostanie skinięty przez tamtego znaczącym zakrzywieniem palca i pochyłem głowy, żeby cioteczka Marianna zyskała orszak, co dopełnia codzienny wizerunek wciąż jednakiego pochod. Woła: „Kocham cię! Przytul mnie!”, a dzieciarnia powtarza piskliwymi głosikami, co z nuty na nutę zmieniają się w jeden piskliwy głosik. Woła i lamentuje, a ów lament płoszy również ptaki, ale nie mewy, co odpowiadają jej żalonym zawodzeniem gdzieś w górze. Nikt jednak nie zdołał ustalić, czy mewy są częścią obrazu, czy tak się składa wyłącznie zrzędzeniem przypadku, że zaczynają wywoływać żalosne duchy przeszłości akurat w chwili, gdy cioteczka Marianna zbliża się do końca swych harców.

Myślę, że ona mogłaby się wystraszyć cioteczki Marianny. Na tej, dość lichej w gruncie rzeczy, podstawie opieram swe, silne skądinąd, przeświadczenie, że nie pochodzi stąd. Ale skądże by w takim razie sól we włosach? To nie wakacyjne przypadki nasączają niemowlęcą podpuszczkę i dorosłą limfę błogosławionym jodem. Kuruje się. To jedyne racjonalne wytłumaczenie. Mieszka w Domu Zdrojowym przez czwartą, przez trzecią – kalkuluję w myślach – przez drugą część roku i ze skierowanego kubka z wydłużonym, śliskim uszkiem, co jest puste w środku i może również pełnić funkcję słomki, wypija codziennie przepisaną porcję solanki. Rano, przed śniadaniem, wedle zaleceń lekarza. Zanim robi makijaż, bo jej twarz krzywi się przy picu w sposób spazmatyczny, a i łza przy okazji błyska w zielonym oku. Ale tylko czasami. Potem płucze swoje piękne, śnieżnobiałe zęby i wewnątrz nieskalanego, gładkoatłasowego podniebienia dużą ilością kapslowanej wody. Kontrole. Dwa razy w tygodniu, ale chodzi raz, bo spojrzenia lekarza ślizgają się po jej karcie, zatrzymując na jej ciele. Próba zmiany prowadzącego nie dała efektu. Kolejny różni się tylko o tyle, że zamiast kępki czarnych włosów na brodawce lewego ucha, nosi

przekrochmalone kołnierzyki koszul, co ją dekoncentruje, bo zamiast skupiać się na niesmaku spowodowanym jego oczami w jej dekolcie, wciąż się zastanawia, czy takim kantem można by krajać chleb.

Zasadniczą kwestią jest to, czy zna Annopulosa Patrzalkalisa, optyka. Gminna wieść niesie, że Grecy z dawien dawna przodowali w wyrobie różnych wielce użytecznych instrumentów, a Annopulos, nieodrodny syn swego narodu, tego narodu, który używając wielkopłaszczyznowej chochli, szerokim gestem wymieszał się ze sprytnymi synami tureckiej ziemi, nie zamierzał zaprzeczać ani swemu mitologicznemu, ani temu bardziej przyziemnemu dziedzictwu, choć tylko pierwsze z nich uważał za dopuszczalne, a z drugim głośno się kłócił. Patrzalkalis – dusza pokutująca, która swój wymiar materialny i ostateczny cel wszelkich zamierzeń zyskała w momencie zdrady – robił nie tylko najprzeróżniejsze okulary i soczewki wszelkiego autoramentu, ale również niewielkie, szklane instrumenty na specjalne zamówienie. Monokle, mikroskopijne lupy i kieszonkowe lornetki, które od czasu do czasu nabywało hurtem towarzystwo z zagranicy, gdy nie było już w mieście nic, czego by nie kupiło, zdobiły witrynę czystego okienka, wciśniętego w podwórze między potrójne okna antykwariatu, a również niewielki, za to niepomiarne bardziej zaniedbany zakład krawiecki – „pogotowie, zamówienia, gorsety”. Annopulos czerpał cichą satysfakcję z faktu, że ów zakład odwiedzało jeszcze mniej klientów, niż jego własny, choć sąsiedztwo antykwariatu i sumiasto-wąsatego jego właściciela, który przez lata wyrobił sobie Opinię – bolało jego serce, zwłaszcza w dżdżyste, jesienne dni. Chciał wówczas pakować wszystkie delikatne instrumenty i nie bacząc na cokolwiek, czym prędzej zamawiać taksówkę na lotnisko, by przebłągać poprzednie życie i rozpocząć wszystko od nowa. Jednak zdrada, zdrada straszna i złowieszcza, związana z opuszczeniem swej rodziny, co dla Greka jest karygodne, związana z opuszczeniem swego kraju, co dla Greka jest niedopuszczalne i swego mistrza cechowego – co dla Greka jest już jako tako do ogarnięcia, ale wciąż nie przysparza mu sławy, odciskała jego własne okulary w cienkich, drucianych oprawkach ciemną smugą wokół szarych oczu i przykleśczała do rozklekotanego taboretu na kółkach, bez oparcia. Kiedy zamykał swe mieszkanie na dwa zamki w drzwiach wewnętrznych, a kolejne dwa w masywnych, dębowych – zewnętrznych i przemierzał niedługą trasę do zakładu pracy, garbił

się i kulił, a wówczas jego cień, posłuszny właścicielowi, chował się pod butami z dobrej, solidnej skóry, nie pozostając w tyle. Sąsiedzi szeptali, że „z tym człowiekiem nie ma żartów, mimo wszystko”. Ktoś, kto nawet własny cień zmusił do uległości, z pewnością posiada również inne oblicze, a mała, sfatygowana postura jest tylko przykrywką dla grubszej afery. Czy wyobrażali sobie, że kiedy Annopulos zerwie wreszcie kaptur tajemnicy i odsłoni swe prawdziwe „ja”, okaże się potężnym mężczyzną, znacznie młodszym i z obliczem znacznie bardziej poznaczonym plugastwami biografii, aniżeli obecnie? – tego nie wiadomo. Dość, że ona miała w swojej torebce lornetkę, z całą pewnością, jeśli przemieszkowała tu przez drugą część roku, zdążyła zaopatrzyć się w jedno z owych cacek na złożonym łańcuszku. A to oznaczało tylko jedno – że złapała się na tutejszy haczyk i nigdy już nie zazna spokoju. Nawet bowiem jeśli lornetkę zamówiła przez obsługę Domu Zdrojowego, nawet jeśli nigdy nie widziała na własne oczy wciśniętego we własne, skurczone ciało, Annopulosa, to rozmawiała z kimś, kto go widział, ba!, kto znał jego lornetki i prawdopodobnie również okulary, monokle i soczewki, a więc zawarł jakąś znajomość z ich twórcą, może nawet wszedł z nim w kontakt fizyczny przy przekazywaniu z ręki do ręki przedmiotu lub pieniędzy, a nawet i jednego, i drugiego, a to wystarczało, żeby zaszło swoiste sprzężenie zwrotne. Teraz nie było już odwrotu i nawet, jeśli nie zdawała sobie jeszcze z tego sprawy, musiała prędzej czy później poznać również cioteczkę Mariannę, bracha Sławka i pozostałe elementy tego, co stanowiło o konturach solnego świata. Nie było odwrotu. Dokonało się.

Ona jeszcze nie wie, choć może już przeczuwać, że dzieje się coś, co wykracza poza dostrzegalną rzeczywistość. Może już zwietriła w słonym powietrzu podstęp, może czuje, że coraz bardziej się topi, coraz silniej jej soki wsiąkają w piach i w wodę, i w ziemię, choć ta ostatnia jest towarem deficytowym, w dodatku nietutejszym, przywiezionym w niewielkich ilościach tylko po to, żeby nawieść drzewka pomarańczowe na promenadzie. Zerkam w kierunku jej dłoni, obejmującej oparcie wiklinowego fotela, spojrzeniem bystrym i wyrachowanym, jakim kupiec może obejmować sytuację, w której rozwoju dostrzega dobry interes. Nikt inny tego nie zauważy, ale on wie, ja wiem, że ona jest o wiele bardziej wilgotna między palcami, aniżeli by to wynikało z łącznej sumy temperatury, podenerwowania sytuacją

i braku najłżejszego powiewu wiatru. Jeśli nie jest chora, a przecież wiem, że nie jest, znam jej puls, który przyspieszał jeszcze niedawno temu, ale to z biegu i z wrażenia, a teraz siedzi i jest rozluźniony – to zdecydowanie skrapla się, przesącza w moją suchą, spękaną i żądną nawilżenia skórę, stapia z tymi naszymi porżniętymi wiatrem twarzami, topi się, by wsiąknąć i stać się jednym z tym piachem, z tą wodą. Z tą solą. Ha! I to dlatego unika słońca. Niepokoi się, że ta chorobliwa, a niespowodowana chorobą potliwość, jest czymś nienaturalnym, czego jeszcze nie potrafi nazwać, choć już dostrzega. Siedzi w cieniu i zastanawia się, milcząc, a ja siedzę naprzeciwko i wiem, o czym myśli, znam odpowiedź na jej pytanie, ale nie jestem jeszcze pewna, czy ona chce wiedzieć, więc też zastanawiam się – milcząc.

Czy jest przygotowana wyłącznie na kolejne takie lato, żeby wrócić, czy wsiąka na trwałe, aby zostać? Lato jest u nas przebiegłe, nie mówi prawdy, a raczej skołtunia ją, aby stała się dostrzegalna wyłącznie dla ludzi o wyjątkowej wrażliwości. Znowu kalkuluję, zerkając na jej dłoń, pod której cienką warstwą skóry pulsują dobrze widoczne, choć cieniutkie żyłki. Delikatna, poczuje nawet pyłek, co osypie się z motylego skrzydła. To ważne, bo latem do solnej nuty wkradają się inne, bardziej z latem niż z solą zaprzyjaźnione zapachy. Tu i ówdzie po dłoniach spływa malinowy syrop, kłęby waty cukrowej pienia się w pasie nabrzeża, słodkawym olejkiem do opalania zawiewa od piasku tak przesączonego ową wonią, że nie sposób już odróżnić: migdałowiec to czy kwarc. Ale przecież są jeszcze inne pory, inne pory są przede wszystkim i zasadniczo. Dni tak mokre i dni tak wietrzne, że nie sposób wydymać przenikliwą morską woń pomiędzy włosków nozdrzy. Wnika ona wówczas w krwioobieg tak głęboko, że melancholią obleka oczy nawet najbardziej odpornych w najmniej sprzyjających okolicznościach. Buzują nią wszyscy pospół, nie tylko rybacy od kutrów, których niewielu już zresztą pozostało. Dyszą nią gołębie i szczury w głębinach smrodu zdałoby się niemającego konkurencji, gdzieś w przepastnych głębiach kanalizacyjnej płataniny. Matki z niepokojem w oczach, nienawykłe do rzeczy niewytłumaczalnych, potykają się o tę sól na korytarzach kamienic, gdzie przecież któraś z nich właśnie przypaliła kaszkę mianą i zda się, że nic już poza tą słodkawą, upajającą, ale i wywołującą mdłości wonią nie jest w stanie przebić się na plan pierwszy. Potknąwszy się – stoją chwilę bez ru-

chu ze ściągniętymi brwiami, próbując dociec, co takiego wywołuje zapomnienie o płaczącym za ścianą dziecku, wywołuje nieokreśloną tęsknotę, której celu nie potrafią dociec, wywołuje oderwanie od tu i teraz i skłania myśli do poruszania się nigdy wcześniej nietkniętymi korytarzami. W tym czasie matka, która przypaliła kaszkę, stoi nad garnkiem i rozmyśla o tym samym, choć otacza ją woń nieporównanie intensywniejsza, co zawiązuje na żołądku gruzełkowate supły i zgina całą sylwetkę w pół.

W te dni sól zdają się roznosić owe ludzkie bydlęta, morze zawłaszcza ich na posłańców, a jego woń rozprzestrzenia się niczym wilgoć ich odzieży, niczym zaraza. Chłodniejsza aura wymusza na nich noszenie wierzchniego okrycia, które – nadużywane i przetarte – szybko pochłania całą dostępną pojedynczej osobie wilgoć. Nitki i szwy nasiakają nią i prawie dwukrotnie powiększają swą objętość, papierosowy dym impregnuje słony nalot, co jak brud albo pot wrzyna się niemiłosiernie w najmniejsze szczeliny i zagięcia. Skóra, czekoladowo zacieniona w czasie lata, brązowieje, a potem, w wyniku działania wilgoci – szarzeje: przechodzi w ten dziwaczny odcień, przy którym nie sposób odróżnić, czy to jeszcze kolor, czy już jego spłowienie.

Zachrypniętych melancholików jest wielu. Kiedy na zmianę wieje i pada, zda się, że mnożą się i pączkują, ale to przecież złudzenie spowodowane mnożeniem się i pączkowaniem solnego nalotu. Morze jest wilgocią samą, kocha więc wilgoć i poprzez nią się rozmnaża.

Są też inne dni, tych o wiele większa obfitość, dni tak lodowate, że nieosłonięta skóra twarzy pęka i zarasta w skorodowany ażur zmarszczek. Ludzkie bydlęta nikną i aż do wiosny nikt nie wie, gdzie się podziewają. Prawdopodobnie zimują gdzieś w przytulisku, albo gnieźdzą się pod stertą zdobycznych łachów w jakiejś opuszczonej piwnicy; przywykliśmy jednak, aby myśleć, że jako podniebne ptaki emigrują raczej w miejsca, gdzie panuje cieplejszy klimat. Jakoś tak się przyjęło i nawet dzieci noszą w sobie tę świadomość, choć nie mówi się o tym na głos.

W lodowate dni solny podmuch zanika. Jest jednak obecny. Nie przenosi się ze swymi posłańcami na południe, choć drzemie. Co bardziej zrosnięci z okolicą mieszkańcy tęsknią wówczas za utraconym, jesiennym szaleństwem, lecz wystarczy im zbliżyć się do zamarzniętej przy brzegu tafli morza, aby znowu pochwycić charakterystyczną

woń. Starczy klęknąć i powąchać zastygłą w lód wodę, której spodnia, wciąż lejąca warstwa, kipi gniewem z powodu swego uwięzienia i bąbelkami powietrza przesącza na powierzchnię własny aromat.

Ważne więc, czy wie, czy jest świadoma, że ulatnia się niepostrzeżenie ze swojego dotychczasowego życia, a skrapla w to nowe. Ważne, żeby wiedziała, bo jeśli dzieje się to niepostrzeżenie, bez jej auto-refleksji, to wówczas, kiedy wreszcie zda sobie z tego sprawę – a to kiedyś nastąpi, bo nastąpić musi – proces może zostać zahamowany lub nawet wytrącony ze swych kolein przez najłżejsze wahanie, wyrzuty sumienia, bezsensowny wtór tamtego, dotychczasowego życia. Mąż, co widzi w niej Boga, będzie ślamazarnie pełzał za nią na kolanach, krok w krok za jej krokami, dookoła latarni morskiej i Domu Zdrojowego, od stoiska do stoiska, wzdłuż promenady, będzie skamlał i wił się, łasił i lizał ślady, jakie zostawia na piasku jej bose stopy. Koniuszkiem języka będzie smakował cierpki, solny nalot, nawisły na krawędziach tych śladów, ale to nie sprawi, że stanie się choć trochę mądrzejszy, bo przecież jego krwioobieg zostanie zamknięty na wszelkie inne doznania poza tym jednym: że ona odchodzi. Kiedy ma się w domu Boga, trzeba go pilnować. A jeśli nie upilnujesz – gorzko pożałujesz. I gorzka się stanie krew jego, i dni jego, i gorzkim osoczem spłyną jego oczy, a każda czarna noc rozciągnie się w wieczność niepoliczalnej tęsknoty. Właśnie. Jeśli ona jeszcze nie wie, jak to jest, to wówczas takie stóp lizanie, może ją złamać. A przecież starczy, że się ledwie zawaha!

Jak znaleźć w sobie siłę, żeby zatrzymać promień? Jak znaleźć w sobie siłę, żeby zatrzymać cień? Jak nie wchodzić gwałtem, pozwolić jej wypoczywać, siedzieć w tym cieniu i z wolna się skraplać, zamiast brutalnie patrzeć w twarz z oczekiwaniem, że teraz, zaraz znajdzie w sobie pozytywne poruszenie i ostateczną skłonność ku cioteczce Mariannie? Była wobec mnie delikatna. Czy zamiast chłodem cienia mam jej teraz odpłacić Annopulosem, który nawet swego cienia nie posiada? Podtykać pod szukające zieleni oczy, ogorzały od słońca i od razów zadanych ścierką przez żonę kark bracha Sławka? Jakżebym śmiała!?

Wyciąga rękę z wystrzelonymi w moim kierunku dwoma palcami: środkowym i wskazującym. Macha nimi, ponaglając mnie, więc, nie spuszczać z oczu tej niecierplivej, hipnotycznej dłoni – na oślep

grzebię w torebce w poszukiwaniu papierosa. Coś ją oderwało od pustki, w jakiej dotąd błędziła i ściągnęło na powrót w to miejsce, pod parasol, w cień, w moje naprzeciwno; palce drugiej ręki wygrywają na blacie stolika stukoczącą, skoczną melodyjkę. Ma wypielęgnowane paznokcie, wszystkie równoważne, wszystkie jednakowej długości. Czy teraz odważę się na nią spojrzeć, spytać, skłonić, zaprząć w siatkę zależności – ten nasz popaprany, cyrkowy korowód? Dolatuje od niej słodkawo, choć głęboki zapach piżma, ale pod spodem, na samej granicy wyczuwalnego – snuje się solny cień. To pomaga i w końcu podnoszę na nią oczy, moje szare oczy, moje słone oczy, a kiedy dotykam jej oczu, jej zielonych oczu, jej słonych, tak, słonych oczu, wówczas ona również dotyka moich i czyta w nich strach. Uśmiecha się, a ten uśmiech odejmuje mi z ramion sto lat i oddycham głębiej. Mówi:

– Piękną tu macie okolicę, tylko teraz trochę gorąco. Jak przyjadę jesienią – lepiej będę mogła ocenić.

RADOSŁAW RAK  
godło: „Ajwenhoł”

II nagroda w kategorii prozy



*RADOSŁAW RAK – student szóstego roku weterynarii na Uniwersytecie Przyrodniczym w Lublinie. Opublikował dwa opowiadania: „Ptaki nad Lublinem” i „Ścigałem się z burzą”. Ma 25 lat.*

## ACHRONIA

Są takie domy, gdzie czas butwieje pod postrzępionymi tapetami i nie dzieje się nic, bo wszystko, co było do wydarzenia, kiedyś już się stało. Wspomnienia zastygły w kątach jak pajęczyny, w zakamarkach podłogi gromadzi się kurz. Codzienne rytuały domowników, ich wędrówki wydeptanymi przez lata ścieżkami od pokoju do pokoju nie rozpraszają martwoty, bo ci ludzie powrastali w dom jak huby i są jego częścią, jak meble i pająki.

Kiedy pewnego ciepłego wrześniowego poranka mój dziadek wyruszył po kryjomu do nieba, babcia przesunęła dom w czas przeszły. Odtąd nastał bezruch i bezczas, jakby dziadek miał zaraz wrócić z nieba po papierosy. Dom zamarł jak owad w bursztynie i nawet zegar w pokoju udawał tylko, że odmierza chwile, tik, tak, tik. Książki, maszyna do pisania, radzieckie radyjko na baterie, popielniczka z kryształu dziwnie załamująca świat, gdy patrzyło się przez nią na drugą stronę – wszystko spowite zawieszistą wonią tytoniu i starego papieru, tak, jak zostawił to dziadek.

Życie w domu babci porosło mchem i pleśnią, jego serce zamarło między pierwszym a drugim tonem, i trwało tak zawieszone w niepewności, aż czarna krew w nim zakrzepła i nie poruszyło się już więcej. Szare cienie rozpełzły się z wolna po pokojach, wieczory przedłużały się w nieskończoność, nad mieszkaniem zawisł sparciały, rudy zaduch. Nawet obrazy zmroczniały; jeden pamiętałem jeszcze z dzieciństwa, przedstawiał krzątających się Żydów, grube baby w białych czepkach i brudne dzieci w ciemnej bramie. W bramie tej cienie układały się dziwnie i zawsze miałem wrażenie, że czai się tam kudłate, czelkokształtne straszdyłło o gębie rozwartej bezmyślnie i zachłannie. Z bliska stwór zmieniał się w uchylone drzwi, blaszane wiadro i wielki jak kopa siana tyłek kucharki w płowej spódnicy, ale wystarczyło odsunąć się od obrazu, a kształty potworniały na nowo. Nie lubiłem sypiać u dziad-

ków, bo strach wypełzał z ram gdy nikt nie patrzył, szwendał się po mieszkaniu i dusił w czasie snu jak zmora, aż budziłem się spocony i z gorejącą głową. Babcia była jednak mądrą kobietą i zawsze, ilekroć u niej nocowałem, odwracała obraz do ściany; straszycło wtedy tłukło się i warczało, ale szybko dawało sobie spokój i szło spać.

Na zewnątrz czas płynął jak dawniej, a może nawet trochę szybciej – stawałem się coraz starszy i zaczynałem dostrzegać jego bieg. Pewnego dnia wracałem z ojcem z działki. Wieźliśmy babci mechate maliny, te późne, które są słodkie nawet po pierwszych przymrozkach. Byliśmy w dobrych humorach; pamiętam, że żartowaliśmy o dziewczynach. Samochód pachniał ziemią, trochę tak dymnie, bo jesień wisiała nad światem w pełni i woń palonych liści snuła się po działkach. Ojciec zaparkował przed blokiem babci – do środka nie chciał wchodzić, nie lubił teściowej i chyba pielęgnował w sercu jakieś dawne urazy.

Zapukałem do drzwi raz i drugi – odpowiedziała mi cisza. Przestraszyłem się, bo babcia wiedziała, że przyjeździemy, a od dawna miała problemy z sercem. Wróciłem po ojca. Chwilę wołaliśmy i waliliśmy; było mi wstyd, bo tu i tam na klatce schodowej skrzyknęły drzwi i wychynęły ciekawskie baby o rozdziawionych ustach, a z naprzeciwnika wyskoczył rozjazgotany, śmierdzący łojem kundel. Babcia nie otwierała, wyważyliśmy więc drzwi. Futryna pękła z trzaskiem. Wewnątrz nie było nikogo.

Zostałem w środku, by nikt niczego nie ukradł, a ojciec pojechał do matki i razem obdzwonili wszystkie miejsca, gdzie mogłaby być: u ciotek, u znajomych, w kościele, w szpitalu. Babcia sama wróciła pod wieczór – była u jakiejs kumoszki, chyba z kółka różańcowego.

– Jezus Maria, tak drzwi wylamać! Jak złodzieje, jak bandziory zupełnie jakieś! Wcale się z wami nie umawiałam, nic nie wiem o żadnych malinach – ofuknęła mnie. – Mogę chodzić gdzie chcę, nie jestem dzieckiem.

Od razu zadzwoniła do ukochanej ze swoich córek. Nic nie odpowiedziałem. Babcia nigdy nie zachowywała się opryskliwie. Gdy ciotka zjawiała się po paru minutach i naurągała mi z marszu, poszły iskry – nie cierpiełem ciotki bardziej niż ojciec swej teściowej.

W parę dni później ojciec i ja zamontowaliśmy nowe drzwi i wszyscy zapomnieli o tym zdarzeniu. Tylko moja matka bardzo długo obracała całą sprawę w głowie.

– Mama nigdy nie zachowywała się w taki sposób – powiedziała kiedyś po kolacji.

– Ma swój wiek – odparł ojciec.

– Ale nigdy o niczym nie zapominała. Martwię się.

– Jak przyjdzie taki dzień, że nie powiesz, że się martwisz, to pomyśl, że źle już z tobą.

– Głupi! – Matka ze śmiechem trzepnęła ojca serwetką.

Przestaliśmy się więc przejmować. A że babci zdarzało się czasem po powrocie z zakupów schować chleb do szafy, a mydło do lodówki – no cóż, miała swój wiek. To była nasza mantra, nasze zaklęcie, a reakcją zawsze był śmiech. Tymczasem zakurzony beczas rozpełzł się po całym mieszkaniu, a babcia z każdym dniem osuwała się głębiej i głębiej w przeszłość. Mówiła dużo – bardzo dużo, więcej niż zwykle: o dziadku, o swej dawnej pracy, o wojnie, o dalszej rodzinie, której i tak nigdy nie zobaczę, bo ci jej członkowie, których wspominała babcia, poumierali zanim się urodziłem; historie wyświechtane, wyglądko od ciągłego opowiadania, zawsze te same. O niedawnych wydarzeniach babcia nie napomykała prawie wcale, czasem tylko skarżyła się na serce i puchnące nogi, więcej nic. Nawet nie chciała niczego nowego się dowiadywać. Co wydarzyło się wczoraj, dziś rano, przed chwilą – było nieistotne, a nawet irytujące, jak mucha brzęcząca nad uchem o świcie, i nie zaczęło się nigdzie w pamięci babci. Pytała tylko dla zasady, co słyhać, i od razu znikła za zasłoną w swojej głowie, bo wcale nie chciała nikogo słuchać, tylko być wysłuchana. Przestałem więc zasypywać babcię nowinami i za każdym razem nabożnie uczestniczyłem w rytuale powtarzania tych samych opowieści, aż i dla mnie nabrały one barw mitu.

Niekiedy siedzieliśmy w milczeniu, między nami zalegała zawieszista cisza, herbata stygła w szklankach. Czasem trzasnęła klepka w podłodze i zdawało się, że to dziadek wrócił z nieba i szuka fajki. Ciemne meble z dykty pączkowały wspomnieniami, aż cały dom opatulał się pajęczyną ech i opowieści babci przestawały być potrzebne. Wiele tych dawnych cieni było niewyraźnych i mdłych, ale niektóre jawiły mi się mocno i jaskrawo – te były moje. Na nowo otwierały się przede mną spędzone u dziadków wakacje, cały lipiec, bo w domu był remont, wszędzie biały pył, przytulny azyl zmienił się w pole bitwy, w legowisko szeleszczących folii i ryczących wiertarek. A ja miałem siedem lat,

tylko bym się pałętał pod nogami i wdychał kurz, tak mówiła mama. Spakowała mnie więc i zawiozła do swoich rodziców.

Tamto lato oszalało od słońca. Dnie szły szerokie i jasne, pełne brzęczenia pszczoł, i zdawały się rozwlekać w nieskończoność, a noc przychodziła nieśmiało, ukradkiem, tylko na chwilę, i nigdy nie była naprawdę czarna. Każdego ranka babcia otwierała dzień gwałtownym szarpnięciem zasłon, szurrr, żabki grzechotały na metalowym karniszu. Białe światło wdzierało się do pokoju ostre i bezlitosne, spłowyiały senny zaduch chował się do szaf i pod łóżko, gdy babcia rozwierała okno na oścież. Po śniadaniu wychodziliśmy oboje na poranną mszę. Dziadek albo spał, albo słuchał radia.

Rano wciąż było chłodno i rześko, między drzewami nawoływały się synogarlice. Rudawy klasztor drzemał jeszcze na końcu ulicy, jego głęboki, powolny oddech pachniał wilgotną starością. Po mszy wychodziliśmy w płynny żar. Asfalt topił się i młaskał pod sandałami. Jeśli byłem grzeczny i nie wierciłem się w kościele, babcia kupowała mi żelki w ciasnym, dusznym sklepiku w jednej z niskich kamienic. Żelki miały kształt małych żabek i były trochę kwaskowate, dobre. Zanim zdążyliśmy dojść do bloku dziadków, zjadałem je co do jednej.

Blok dziadków miał numerek cztery i był najładniejszy na osiedlu, cały pomalowany na zielono. Z balkonów lały się kaskady kwiatów. Obok, za trawnikiem, trzepakiem i rzędem starych lip, stał blok numer dwa. Nie był ani trochę tak ładny jak czwórka, a z wiecznie otwartych gardzieli klatek schodowych wionął omszały chłód pleśni. Dziadek mówił, że dwójka się taka zrobiła przez Cyganów, bo Cygany, wiadomo, nieroby są i myć im się nie chce. Przed południem rozkładałem na trawniku między blokami swój kocyk, bo pod drzewami chłodniej i przewiewniej niż w mieszkaniu. Od dziadka brałem aptekarski moździerz z grubej porcelany i ucierałem pokrzywy na sok. Nigdy nie próbowałem, ale skoro liście parzą jak ogień, sok musiał być potworną trucizną.

Obraz kielkuje z obrazu, wrażenie z wrażenia, w każdą stronę rozgałęzia się fraktalowe drzewo wspomnień.

Przyszła do mnie któregoś dnia, mała, chuda i ciemna, pachnąca mlekiem i różowymi pudrowymi pastylkami. W ręce trzymała dmuchawiec.

– Co robisz? – zapytała i dmuchnęła w białą kulkę. Puch zatańczył przez moment w powietrzu, ale było martwe, bez najmniejszego poddmuchu wiatru, więc zaraz opadł na trawę.

– Sok z pokrzyw – odparłem najbardziej ponuro, jak potrafiłem.

– A po co?

– Żeby otruć.

– Kogo otruć? – Oczy dziewczynki zrobiły się nagle wielkie i czarne.

Nie zastanawiałem się nad tym nigdy. Zawsze po prostu wylewałem na koniec sok w trawę i wracałem na obiad.

– Mrówki – wymyśliłem na poczekaniu – ale tylko te złe, co gryzą.

– Mnie pogryzły wczoraj. O tu, o – wskazała czerwone kropki na nogach. Narwaliśmy więc pełno pokrzyw i razem wycisnęliśmy prawie cały moździerz soku. Potem właliśmy wszystko do mrowiska między płytami chodnika. Może mi się zdawało, ale chyba słyszałem wysoki, jęklivy pisk mrówczego konania.

Odtąd spotykaliśmy się dzień w dzień, wyciskając sok z pokrzyw albo zawisając za ręce i nogi na metalowych rurkach trzepaka. Była w tym lepsza ode mnie, ale to ja przodowałem w warzeniu trucizn. Czasem chodziliśmy nad mętne bajorko w parku, przyglądaliśmy się kijankom i wrzucaliśmy do czarnej wody liście, patyki i zdechłe muszki. Dnie miały nieruchome i rozdęte upałem, i tylko kijanki zmieniały się, przeżabiały, i rosły im łapki. Wkrótce park pełen był małych żabek, rozlażyły się we wszystkie strony; rozjechane na drodze przez samochody, zasychały w czarne placki. Ratowaliśmy tyle żab, ile mogliśmy, wrzucaliśmy je bez przerwy do sadzawki, ale one zawsze stamtąd uciekały z tępym, bezmyślnym uporem, prosto w śmierć. W połowie lipca woda wyschła, zostało tylko spękane błoto i muchy brzęczące nad rozjechanymi ciałkami. Przestaliśmy chodzić do parku i jedynymi żabami w naszym świecie na powrót stały się kwaśne żelki.

A potem zegar wybija pełną godzinę i wspomnienie pęka. Zostaje tylko babcia, kołysząca się w fotelu i zapatrzona nieruchomo w przeszłość. Od tej pustki, od tego bezruchu aż mnie ściska w żołądku, żegnaj się więc z babcią pospiesznie i prawie wybiegam z mieszkania. Na zewnątrz opada mnie bezpieczny łoskot miasta. Pstryk zapalniczki – zaciągam się głęboko tytoniowym dymem, otrzepuję z kurzu i z ulgą

zanurzam w rozedrgany chaos ulicy. Strumień czasu rwie jak szalony. Tak już lepiej.

\* \* \*

Kiedyś zauważyłem, że na obrazie w sypialni nie ma już straszdyła. Po śmierci dziadka wyszło widać z obrazu na dobre. Potem zorientowałem się, że zamieszkało w pawlaczu w przedpokoju, bo rozzuchwaliło się do tego stopnia, że buszowało po mieszkaniu w biały dzień. Gdy odganiałem je kopniakiem, warczało. Mieszkanie było jednak duże i strach coraz więcej czasu spędzał na wylegiwaniu się w słońcu jak opasły kocur. Wyblakł od tego i wypłowił, na mój widok podnosił tylko od niechcenia łeb i ziewał, aż trzaskała mu żuchwa. Nie był już wcale straszny.

Zalegające w domu bezruch i gęsta nuda zbyt ciasno wypełniały powietrze i wreszcie zdławiły stracha do reszty. Znalazłem go w kuchni, gdy przyszedłem umyć okna – leżał pod parapetem zwinięty w kłębek, wysuszony na pieprz, pająki zdążyły już usnuć sieci między nim a futryną. Przy dotknięciu ciemne truchło rozsypało się w proch; zamiotłem podłogę dokładnie i wyrzuciłem wszystko do śmieci. Kiedy zdechł strach, zrozumiałem, że dom babci nie ma już przyszłości. Przyszłość nie może istnieć bez strachu.

W tamtych dniach babcia odwróciła się na dobre od świata i z pogodną rezygnacją odeszła w czas przeszły. Ciągłe tu była, była tuż obok, sprzątała, prała, a gdy przychodziłem robiła herbatę, ale przez teraźniejszość szła jedynie siłą inercji, bo nie sposób zatrzymać się w czasie. Jej serce utkwilo w głębokiej przeszłości i nie wróciło stamtąd już nigdy. Ona sama miała znów dwadzieścia parę lat, czekała na męża, który wyszedł po papierosy i jak zwykle gdzieś się zawieruszył, a przecież już pora wychodzić, pociąg do Gdańska odjeżdża za godzinę, wieczorem mają być w pensjonacie w Krynicy Morskiej. Nie opowiadała już historii – przynajmniej bardzo rzadko. Po prostu była. Ja też, gdy u niej byłem, nie odzywałem się za wiele. Dobrze się nam razem milczało, bo milczenie to pozbawione było skrępowania i nie domagało się, by natychmiast wypełniać je słowami bez znaczenia.

Któregoś zimowego dnia, gdy na zewnątrz trzeszczał stalowy mróz, znów siedziałem u babci. Zmarznęte palce i uszy puchły w ciepłym, miłym zaduchu mieszkania, gorąca szklanka parzyła dłonie. To był jeden z tych krótkich, nudnych dni styczniowych, gdy choinka po

Bożym Narodzeniu zdążyła się już osypać, a karnawał nie ośmielił się jeszcze na dobre rozpocząć.

Nagle nieruchomość tego białego popołudnia zmaćciła ciche pukanie do drzwi. Babcia miała dobry dzień, krzątała się po kuchni, biszkopt w piekarniku rósł i rumienił się, a cały dom pachniał wanilią. Pobieglem w podskokach do przedpokoju i sięgnąłem klamki – była wysoko, musiałem wspiąć się na palce.

Na klatce schodowej stała moja śniada dziewczynka i strzelała gumą do żucia.

– Idziesz na trzepak? – zapytała.

Bez słowa wzięłem sandały i wybiegliśmy w popołudniowy żar. Powietrze nad asfaltem drgało jak na pustyni i to był jedyny ruch na całym świecie. Nawet muchy gdzieś się pochowały. Miało się na burzę i niebo przybrało dziwną siną barwę.

W piaskownicy pod pachnącą miodowo lipą kilka dziewczynek bawiło się niemrawo, jakby powietrze stało się lepkie i nabrało gęstości wody. Gdy się zbliżyliśmy, zaczęły się chichrać i wołać: zakochana para, Jacek i Barbara.

– Niech sobie wołają – powiedziała ze złością moja dziewczynka. – Są zazdrosne, bo same nie mają chłopaka!

I tak po raz pierwszy zostałem czymś chłopakiem. Nikt mnie w tej kwestii nie pytał o zdanie.

Poszliśmy we dwoje na trzepak. Grube zielone rury parzyły ręce i uda. Nie zwracaliśmy uwagi na dziewczynki, wybuchające raz po raz głupawym chichotem, i udawaliśmy, że wcale ich nie ma, choć dzieliło nas nie więcej jak trzydzieści metrów. A gdy trzepak nam się znudził i wracaliśmy obok piaskownicy, moja ciemna dziewczynka stanęła na paluszkach i wycisnęła mi na ustach suchy, twardy pocałunek. Wszyscy byli zszokowani, a najbardziej ja. Ale później całowaliśmy się często, bo było to przyjemne i świat od tego bardzo miło wirował.

Babcia musiała nas kiedyś podejrzec, bo w jakiś czas później przy obiedzie zrugowała mnie potwornie. Że się z Cyganichą zadaje, z Cyganichą, jakbym już nie miał z kim, taki wstyd, a bo to mało wkoło porządných dzieci? Od tamtej pory spotykaliśmy się ukradkiem, pokątnie, i nabrały te spotkania słodkawo-gnilnego smaku grzechu.

Raz moja Cyganicha zabrała mnie przez dziurę w płocie w chaszcze na tyłach zdziczałego ogrodu. Starsze chłopaki chodziły tam często

i na ziemi wały się pety i trzeszczące puszki po piwie, ale tamtego dnia nie było nikogo, nikogutko. Tylko ona i ja. Powietrze, duszne i parne, wibrowało rozeźlonymi osami.

– Chcesz oglądać moje cycuszki? – zapytała nagle. Zatkalo mnie.

– Nie wiem – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

– Jesteś moim chłopakiem. Musisz chcieć oglądać moje cycuszki – zadarła w górę niebieską koszulkę i podtrzymała ją podbródkiem. Z chudej, brązowej piersi sterczały dwie ciemne brodawki. Po raz pierwszy w życiu oglądałem kobiecą nagość i było to niepokojące doznanie. Żeby się jakoś odnaleźć, również uniosłem koszulkę. Popatrzyła na mnie zdziwiona.

– Dziewczyny nie muszą oglądać chłopaków! Nic się na tym nie znasz. Dobrze, że ja się znam, bo moglibyśmy wpaść.

Nie miałem pojęcia, do czego mielibyśmy wpaść, ale w jej ustach nie brzmiało to przyjemnie.

Po tym wszystkim coś się złamało między nami i nic nie było takie jak dawniej. Widywaliśmy się rzadziej, na krótko, spojrzenia uciekały w bok, z dala od siebie. Wychodziłem teraz przed blok rzadziej, żelki zjadałem sam, aż w końcu zupełnie zaszyłem się na balkonie i w samotności puszczałem słomką bańki z płynu do mycia naczyń. Przyglądałem się tym bańkom w skupieniu: były małe, pod światło błyszczały zielenią i różem. I im dłużej się przyglądałem, tym gorzej czułem się sam ze sobą.

Pewnego dnia wsiadłem więc do samochodu, włączyłem jakąś ostrą muzykę, zapaliłem papierosa i odjechałem w zimę bez pożegnania z moją pachnącą mlekiem dziewczynką. Było ślisko, co rusz zносиło tył auta na boki. Dopiero po drodze uświadomiłem sobie, że nigdy nie zapytałem, jak miała na imię.

\* \* \*

Z czasem babcia przestała mnie rozpoznawać.

– Kim pan jest? – pyta, gdy pewnego dnia przyszedłem wytrzeć dywany; wzrok ma dziwnie nieprzytomny.

– To ja, babciu, M.

– M.! Aleś ty wyrósł, wyprzystojniał. Poczekaj, zrobię ci herbatę – znika w kuchni i wraca za chwilę, a ja bawię się dziadkową popielniczką. – Pan pytał o M.? To mój wnuś. Pokażę panu zdjęcia –

babcia stawia przede mną szklankę z parującą herbatę w blaszanym koszyczku i wyciąga z szuflady stary album, taki z czarnymi kartkami oddzielonymi przez bibułki. Migają czarno-białe twarze, aż w końcu zatrzymujemy się na fotografii małego chłopca gryzącego w ucho misia wielkiego jak on sam. – Mój wnuś. Mają z nim kłopot, mają, bo ciągle choruje, bez przerwy tylko te antybiotyki i antybiotyki. Chodzę go bawić czasami. Jest już duży, wzięli go chyba do wojska. A pan kto jest, kolega M.?

Stało się jasne, że babcia istnieje w tak wielu czasach, że nie potrafi już wybrać tego właściwego. Odtąd ktoś z rodziny był z nią przez cały dzień, zostawała sama dopiero wieczorami. Wychodząc oddychaliśmy z ulgą; nikt nie mógł zbyt długo znieść tego mieszkania, gdzie przerażająca martwota wyje po kątach i śmierć kładzie się długim cieniem, nie my, my, którzy żyliśmy dla przyszłości. Babcia nie chciała jednak przeprowadzić się do żadnej z córek, których miała pięć.

– Mnie tu dobrze – mówiła – i mój Jasio mi kwiaty ciągle przynosi. Takiego mam męża dobrego, takiego dobrego!

Kiedyś ciotka znalazła w domu swej matki storczyk uginający się od mięsistych kwiatów o niepokojących barwach wieczoru i kostropatych, pajęczych korzeniach wypełniających z doniczki. Przestraszyła się, że ktoś podając się za dziadka może oszukać babcię i jeszcze tego samego dnia zabrała ją z domu siłą. Rozsierdziła się jeszcze bardziej, gdy babcia zaczęła opowiadać, jak to dziadek wraca noc w noc z granicy zmierzchu i znosi jej kwiaty, które tam rosną, takie jak ten, o. Są tam łąki pełne maków i śpiewające motyle, tak mówi dziadek. Wiele jej opowiada, bo zawsze siedzą do późna, do najczarniejszej ciemności.

Mijały dni i cała rodzina zapomniała o domu czasu przeszłego. Pozwoliliśmy mu otorbić się spleśniałą starością i trawic własne wspomnienia. Myślę, że baliśmy się go, baliśmy się jak śmierci. Nigdy więcej nie przekroczyłem już jego progu.

Pewnego dnia przechodziłem nieopodal i zauważyłem, że blok dziadków znikł. Niedługo potem znikła cała ulica, przy której stał, i wszyscy o niej zapomnieli.

Adwent 2011

JOANNA ZAKRZEWSKA  
godło: „milla”

III nagroda w kategorii prozy



*JOANNA ZAKRZEWSKA – z wykształcenia pedagog, pracownik muzealny, konsultant feng shui. Z zawodu nauczyciel języka angielskiego. Matka małego Leona. Jej teksty ukazywały się w „sZAFie”, „Kozimrynku”, „PKPzinie”, „L’espérance” i na Portalu Pisarskim.*

## PARAWAN

Niuta zachowuje się dziwnie.

Obserwuję ją, odkąd wróciła do domu. Usiłuje się krzątać; pół dnia gotuje wodę na herbatę i ceruje skarpety Mariana. Ale jej wzrok co chwilę wybiega poza pokój, mieszkanie. Oczy błyszczą – Niuta młodziej z minuty na minutę.

Jestem niespokojna. Siedzę owinięta kocem na swoim łóżku i usiłuję sprawdzać kartkówki. Herbata – dawno wystygła – osiadła na kubku nieapetyczną woalką. Nie mogę się skupić; biegam za Niutą wzrokiem i – uzbrojona w długopis – usiłuję wydrapać tajemnicę z jej oczu, twarzy i ciała. Wyakuszerować ją do naszego wspólnego świata.

Powoli schodzą się chłopcy, ze szkoły, przedszkola. Hałaśliwie skopują buty z nóg, wyrzucają kurtki wysoko na półkę. Wszystkie haczyki zajęte; pasek mojej rdzawej jesionki zaplątał się do kieszeni wiszącego dalej płaszczu Niuty, obok którego wolne miejsce czeka na kurtkę Mariana. Marian – brodaty safandula – to mąż Niuty. Odkąd tu zamieszkał, nie zamienił ze mną więcej niż parę słów. Nie zakłóca przestrzeni.

O, właśnie wrócił. Złożył równo buty, piętami do drzwi, wygładził kurtkę na wieszaku. I odczepił pasek mojego okrycia od płaszcza żony. Zawsze robię mu na złość; zaplatam rękawy, zapinam guziki na cudze dziurki. Żeby sobie pracowicie rozdzielał siostry. Ze stoickim spokojem, flegmą, od lat nieodmiennie. To moja chwila złośliwej radości.

Potem cofam się za parawan i ostrożnie podglądam, jak się witają. Bez słów, krótkim, ciepłym gestem. Potem cofam się jeszcze bardziej i zostawiam rodzinie czas na wspólne bycie, celebrację siebie. Chłopcy poszturchują się łokciami – Ignas i Antek, najmłodszy – Leon – anek-

tuje kolana matki. Niuta ogarnia ich wszystkich ciepłym spojrzeniem, dotyka dłonią policzka Mariana. I najwyraźniej mówi mu coś samymi oczami. Jego twarz rozpromienia się.

Na wspólną herbatę siostra wyciąga mnie z zasieków parawanu. Dają się podprowadzić do stołu i włożyć do ręki najładniejszy kubek, ten w słoneczniki. Ma obtłuczone uszko, ale nie szkodzi.

Każdy kubek z innej parafii: Niuta oplata dłońmi ten w biedronki, przed Marianem dymi stołówkowy postrach. Leon próbuje wydłubać oczko misiowi, a Antki i Ignasie po raz enty oglądają samochody na swoich kubkach. Taka zbieranina z wyprzedaży i ciotczynych kredensów.

– Masz, masz, Niuto – pchały jej w ramiona niekompletne, wyszczerbione serwisy. – U ciebie taka liczna rodzina...

Jak łatwo być dobrym z tego, co nam zbywa. Niuta zdawała się jednak tego nie dostrzegać, przynajmniej o tym nie mówiła, a oczy jej błyszczały do najohydniejszego kubka i tandetnej filiżanki.

Inna sprawa, że w otoczeniu Niuty ta mizerota nabierała królewskiego splendoru; wytarta serweta na stole, wazonik – pełen suszków i w ogóle całe mieszkanie. A raczej pokój – duży, prawie czterdziestometrowy, który zajmowaliśmy w szóstkę. Plus Różia – kocica Niuty.

Niuta zaszydelkowała nędzę obrusami i powłóczkami. Zagipsowywała obsypujący się tynk gobelinami i kilimami, polerowała na błysk zdezelowane meble, przykrywała serwetami obgryzione z polityry stoliki. Marian miał cztery lewe ręce do prac domowych, za to Niuta tyle samo zdolności do ukrywania nędzy i niedostatków.

– Bój się Boga! – krzyczałam nieraz, gdy Mariana nie było w domu. – Czy to naprawdę takie trudne odmalować pokój czy poprawić obluźowaną listwę przy podłodze?!

Niuta z przepaszającym uśmiechem wyskubywała zemszoną wełnę z mojego swetra, a potem biegła szyć, nicować, kamuflować, przesuwając stolik, żeby zasłonił tę nieszczęsną listwę.

– Ja go kocham – mówiła cicho, widząc mój potępiający wzrok.

Zastanawiałam się, czy słyszę o miłości głupiej czy też bezwarunkowej.

Chyba jednak chodziło o to drugie, bo Niuta jest dobra. Wszyscy grzejemy się w jej cichej, niewymagającej miłości. Ja – zza parawanu. Mały Leon nieustannie rywalizuje z kotem o miejsce na kolanach matki. Marian patrzy na żonę tak, jak na mnie nie spojrzał nigdy żaden mężczyzna. A przecież jest dużo brzydsza ode mnie. Ma wystający ptasi nos, nierówne zęby i włosy, które chyba nigdy nie były dobrze ułożone.

Widać, jednak ma w sobie coś, czego mnie brakuje – myślę i patrzę, jak zmywa po kolacji, bez reszty poświęcona chwili płukania sztućców i talerzy, jakby robiła najważniejszą i najbardziej niezwykłą rzecz na świecie.

Nigdy nie zapomni o miskach Rózi; wyrzuca resztki karmy do kosza i starannie myje kocie plastiki. Wyciera specjalną ścierką i na powrót ustawia przy piecu. Leje w nie wodę, mleko, na wypadek gdyby Różce w nocy zachciało się pić.

Kiedys Niuty nie było na noc w domu. Kot miauczał i płał się bez sensu. Zeszłam z łóżka, wyciągnęłam z lodówki mleko. Przez chwilę patrzyłam na brudną miskę, a potem wzruszyłam ramionami i nalałam do niej płynu. Różia nie chciała pić.

Niuta nie powiedziała mi wtedy jednego słowa, umyła tylko naczynie i dała kotu świeże jedzenie. Zawstydzona, wycofałam się za parawan. Ale właściwie czemu zawstydzona? Przecież to Niuta była dobra. Ja byłam... wygodna?

Edek imponował mi. Może nawet trochę go kochałam? Jednak kiedy poprosił mnie o rękę, odmówiłam; nie miał mieszkania ani wido-ków na nie.

– On cię kocha – martwiła się Niuta. – Zamieszkajcie tutaj. Jakoś to będzie, podzielimy pokój na dwa – kreśliła rękoma niewidzialne linie pomiędzy ścianami.

Nie chciałam mieszkać z siostrą i sikać do oddzielonej kotarą ubikacji. Wyprosiłam Edka z niedosłego pokoju i swojego życia.

Potem pojawił się Marian. Przychodził w każdy piątek na herbatę, siadał przy stole i nie mówił nic. Niuta podsuwała mu grubo krajanego placka i patrzyła, jak je. A potem siadali na jej łóżku, opierali głowy

o pasiasty kilim po prababce. Mogli tak godzinami, a kukulka odmierała im czas, który leniwie płynął w noc.

Podczas jednej z takich wizyt, Niuta poprosiła mnie do stołu. Niechętnie zeszedłam z łóżka i, okrywając ramiona chustą, weszłam w światło wiszącą nad stołem lampy.

– My się pobierzemy – siostra poinformowała mnie z nieśmiałym uśmiechem. – Marian zamieszka z nami i... – szukała mego wzroku – jakoś to będzie, prawda?

Pokiwałam nieszczerze głową i wróciłam do siebie. Miałam do Niuty żal, że nie postąpiła tak jak ja, że złamała niepisaną umowę o niekomplikowaniu naszego życia. Cóż jakoś to będzie – wyobrażałam sobie rozkosz posiadania własnego pokoju, który nigdy się nie stał. Jak i nie stała się ścianka, odgradzająca ubikację od reszty mieszkania. Pojawiły się za to parawaniki, kotary, regały i malutkie kąciki, namiastkujące prywatność.

Marian wszedł w naszą przestrzeń cicho (jeśli nie liczyć głośnego strumienia moczu, uderzającego w odpływ klozetu) i niewymagająco. Potem, jedno po drugim, urodziły się w nią dziecięce łóżeczka. Niuta, dzień i noc pochylała nad nimi głowę.

– Chodź, zobacz – wyszeptywała mnie często zza parawanu, pokazując rozrzucone na poduszce piąstki i zmierzwione włoski. – Dzieci to błogosławieństwo.

Jedno – tak, ale już trójka wydawała mi się męczącym obowiązkiem. Pomagałam Niucie, wkładałam butelki z mlekiem w rączki, usypiałam, nosząc w ramionach. Ścigał mnie niechętny wzrok Mariana, zazdrosnego o każdą cząstkę rodziny, o obce ramiona, które były kołyską dla dzieci Niuty. Obracałam się do niego plecami.

Najczęściej opiekowałam się małym Leonem.

– Moja duża mamusia – obiema rączkami głaskał moje policzki.

Zawsze doznawałam wstrząsu, słysząc to: mamusia. A dotyk przesuwających się po mojej skórze paluszków Leona był niedającą się z niczym porównać pieszczotą.

Niuta rozumiała moje uczucia, choć nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Czasem tylko porzucała jakieś zajęcie i biegła przytulić się do nas.

– Tobie go urodziłam – szeptała, wciskając podbródek w moje ramię.

Myślałam wtedy, że zwariowała.

A Niuta była po prostu dobra. Nawet wtedy, gdy zaczęłam uwodzić Mariana.

Najpierw szczerze odgrodziłam się od świata siostry i szwagra. Ale potem zaczął mnie on interesować. Intrygowało zwykłe, rodzinne życie. Życie z mężczyzną. To wtedy stałam się obserwatorką, a właściwie podglądaczką; wchodziłam w czas Niuty i Mariana dziurką w parawanie, niewiele większą od mojej żrenicy. Kiedyś oczy Niuty wysledziły judasza, sprawne palce od razu zacerowały rozdarcie. Cicho otworzyłam moje trzecie oko parę dni później, gdy życie bez Mariana i Niuty stało się nie do zniesienia.

I tym razem siostra wytropiła dziurę. Nawlokła igłę i złapała między palce brzegi tkaniny. A potem spojrzała na mnie i cicho wycofała się do swojego świata.

To w nim zobaczyłam jedyny akt uczucia Mariana. Niuta spała, a on szykował się do pracy. Przy całej swojej nieudolności przynajmniej śniadanie przygotowywał sobie sam, nie dokładając żonie obowiązków. Tamtego dnia starannie pakował kanapki, gdy jego uwagę zwróciła wystająca spod kołdry stopa Niuty. Pochylił się nad nią jakoś tak pięknie, pogłodził i pocałował. Jeden raz – jak to Marian – a potem starannie okrył kołdrą.

Zawstydziłam się swoim podglądactwem. A właściwie tym, co zobaczyłam. Osobisty gest Mariana nie był przeznaczony nawet dla oczu Niuty, a już zwłaszcza dla osób postronnych. Wycofałam się z powrotem na poduszkę, a potem cicho wysunęłam stopę spod kołdry. Jeszcze ładną, zadbaną, z pomalowanymi jasnym lakierem paznokciami. Niuta nie dbała o dłonie, o stopy tym bardziej. Co powie Marian na widok delikatnej skóry, zadbanych paznokci, kiedy przejdzie obok mojego łóżka, wychodząc do pracy?

Upozowałam się trochę, zsunęłam z ramienia koszulkę. Palce stopy obciągnęłam estetycznie. I czekałam.

Odgłos przekręcanego w zamku klucza oznajmił mi, że już mogę przestać. Zakryłam zziębniętą stopę kołdrą, nie mogąc jednak przestać

myśleć o tym, co zobaczyłam. I może to sprawiło, że zatęskniłam za pieszczotą mężczyzny, za jego spojrzeniem, za tym, żeby całkowicie wypełnić czyjeś myśli, świat. A Marian był akurat blisko.

Dla niego, a raczej dla własnej potrzeby wyszłam zza parawanu. Zamieszkałam w świecie Niuty i Mariana jak dziki lokator. Krzątałam się przy kuchennej części pokoju, ubrana w cienką podomkę z pogłębionym rozcięciem na udzie; zdolność do prucia szwów miałam opracowaną do perfekcji.

Marian mnie nie dostrzegał, za to spojrzenie Niuty stało się uważne, choć ciągle niedowierzające. Moja dobra, naiwna siostrzyczka; jej ufność podsycala poczucie bezkarności i chęć posiadania cudzej rzeczy. Skróciłam i tak krótką podomkę, rozpuściłam włosy i długo myłam się w łazienkowej przegrodzie.

Ostatnie podrygi starej panny ukrócił w końcu – o dziwo! – sam Marian. Pewnego popołudnia, kiedy Niuta wyszła po Leona do przedszkola, podszedł do mojego łóżka i, nie patrząc w oczy, powiedział: nie trzeba.

Zadziałało lepiej niż policzek, niż kubek zimnej wody, lepiej niż spojrzenie siostry, w którym, dopiero później, zrozumiałam lęk.

Zawstydzona, zrzuciłam podomkę, ubrałam domową spódnice i zapinany sweter. Włosy posłusznie wróciły do ciasnego wiązania. Kiedy Niuta wróciła z Leonem, wszystko było już na swoim miejscu; nieciekawa, postarzała kobieta wciśnięta za parawan.

Widok wspinającej się po drabinie siostry odrywa mnie od wspomnień. Śledzę każdy jej krok w górę, a potem zatrzymuję wzrok na brzuchu.

Już znam tajemnicę Niuty.

Wiem, co będzie dalej. Niuta wyjmie z pawlacza długi, granatowy sweter, mocno rozciągnięty wszerek.

Wycofuję się za parawan porażona wizją kolejnego łóżeczka w naszym pokoju. A w głowie układam już do snu moje czwarte dziecko, które, tak jak poprzednie, urodzi się tylko tam.

Odpinam guzik spodni, zaczyna mnie uwierać. Dziś albo jutro pojawiają się mdłości, piersiom zacznie przeszkadzać stanik. Potem zatrzy-

ma się okres. Znow będziemy się z Niutą mijać w drodze do toalety. Powiem jej – jak zwykle – że mam zapalenie pęcherza.

Do lekarza poszłam tylko za pierwszym razem. Prerażona, mająca jednak nadzieję, że może naprawdę, że jakimś cudem – też?

– Brak widocznych oznak ciąży – lekarz zdjął rękawiczki. – Proszę się ubrać.

– Okres mi się spóźnia dwa tygodnie – jeszcze broniłam nadziei.

Ginekolog bez słowa wskazał leżankę obok aparatu USG, a potem puknął palcem w czarną pustkę mojej macicy.

– Ale przecież częste oddawanie moczu, mrowienie w piersiach, mdłości. – Wyliczałam na palcach.

– Wszystko bierze się z mózgu. Bardzo chciała być pani w ciąży, rozkazała to swojemu ciału. Cięża urojona – zamknął sprawę.

Jak u Lindy, naszej jamniczki, która wmówiła sobie, że urodziła. Znosiła do legowiska maskotki i popychała je nosem do sutek. Kiedyś spróbowała nawet zaadoptować jedno z kociąt Różki. Kocica podrapała jej wtedy boleśnie nos. Było mi jej żal i, gdy Różia wychodziła z koszyka, przytulałam jedno z kociąt do brzuszka jamniczki. Obdaro- wywałam namiastką macierzyństwa. Tak jak Niuta mnie.

Siostra nie pozwala mi zbyt długo myśleć o bolesnych sprawach. Ubrana w granatowy sweter, siada na łóżku, wciska podbródek w mój obojczyk. Jest tak radosna, że nie pytam, jak to będzie. Jakoś na pewno.

– Urodzę je dla ciebie. Jak Leona. – Obiecuje jak mała dziewczynka. – Dzieci to błogosławieństwo, wiesz siostrusiu?

Cieszymy się już razem do mikroskopijnych rączek, do gugania i zapachu dziecięcych ciuszków. Turlamy się po łóżku oszołomione eksplozją radości.

Marian kręci się osamotniony po mieszkaniu, chrząka nerwowo.

– Danuta! – cicho próbuje wywołać żonę do ich własnego świata.

Wyszukuję go judaszem. Siedzi przy stole i patrzy na parawan, który odebrał mu Niutę.

– Pokaż! – Moja siostra śmieje się jak wariatka i odpycha mnie od wizjeru. – Daj popatrzeć!

Stroimy sobie żarty z Mariana, chichoczymy jak nastolatki. Przez chwilę mam ją dla siebie. Tu, w moim świecie.

Kocham cię, siostrze. Ciebie. Najbardziej na świecie.

ADRIANNA DARIA DZIADYK  
godło: „biały kot”

III nagroda w kategorii prozy



*ADRIANNA DARIA DZIADYK – na co dzień można ją złapać we Wrocławiu, gdzie studiuje. Jest uzależniona od poczty elektronicznej i literatury, jak również od kawy, którą uwielbia w każdej ilości. Zajmuje się sztuką, pisaniem – tylko dorywczo. Ma 22 lata.*

[FUCKIN'  
..... PERFECT]

Mam swojego Przyjaciela. To nie tyle brzmi niepoważnie, to jak jakiś pseudopoetycki dziś slogan; ale tak właśnie jest. To jest taki człowiek, do którego mogę mówić co chcę, nawet wtedy, gdy już sama nie wiem, o czym tak właściwie mówię. Który mówi mi wszystko i wie o mnie wszystko. Znamy się dopiero od kilku lat, ale gdy go tylko poznałam, już wiedziałam, że wolę go bardziej, jak kogokolwiek innego. A był to takiego rodzaju człowiek, którego spotykasz, patrzysz na niego i nagle chcesz wiedzieć jak ma na imię, co lubi czytać, gdzie mieszka, czym się interesuje i jak na imię mają jego rodzice, a tak właściwie wystarczy tylko możliwość bycia obok. I najlepsze jest w tym wszystkim to, że oprócz tego on chciał jeszcze wiedzieć, czy ktoś taki jak on może być przeze mnie akceptowany i jaki kolor lubię najbardziej.

Mój przyjaciel jest wysoki i szczupły. Właściwie to lepiej do niego pasowałoby określenie: długi. Wszystkie jego kończyny są długie, ma nawet długą twarz, usta i nos. Ma długie stopy. Swoją długość uwydatnia jeszcze eleganckimi butami w szpic, wąskimi spodniami i uroczym sweterkiem. Zawsze nosi koszule z mocno wykrochmalonym kołnierzykiem, zawsze jednobarwne, nigdy w kratkę.

Jest dość przystojny. Dość to dziwne określenie, ale nie mogłabym przecież powiedzieć: mój Przyjaciel jest zabójczo przystojny. Bo to nie byłoby prawdą wobec tych wszystkich chłopaków, którzy naprawdę są przystojni. Bo określenie „zabójczo przystojny” jest jednak strasznie banalne. Trendy się zmieniają i chłopak zabójczo przystojny dziś nie będzie już taki jutro. Tak to już w tym życiu bywa, bo life is brutal. Zresztą mój Przyjaciel nie jest jakimś tam kolejnym chłopakiem z artystycznym nieładem na głowie i w bluzie z kapturem. Mój przyjaciel jest eleganckim młodym mężczyzną, jest krótko

obcięty, czasem, gdy dopisze mu humor zostawi sobie dwudniowy zarost (taki jak najbardziej lubię) lub zapuści sobie delikatny wąsik pod nosem do pary z krótką, lekko dostrzegalną bródką. I tak też mi się podoba, chociaż awersję do wszelkiego rodzaju bród, bródek i wąsów mam straszną. Bo te okropne bródki, brody i brodziska w różnym stanie zaniedbania pojawiają się już u chłopców i są oznaką bycia Mężczyzną. Sygnalizują czasem przedwcześnie przemianę, która zazwyczaj jest tylko fizyczna, powierzchowna. Jak w poczwarcie poważnej, wewnątrz dzieciak jest, a z dzieciakiem takim, który jest dwa razy większy niż ja (a zaznaczyć tu trzeba, że boję się wszystkiego, co jest większe – lub szersze – ode mnie) ciężko mi się bawić.

Ale nie, nie, nie. Nie mam chęci choćby najmniejszej na analizowanie przemiany chłopczyka w Mężczyznę. Wolę, gdy to zachodzi inaczej i gdy chłopak po prostu jest i w nic się nie przemienia. Jak mój Przyjaciel. Wcale go nie idealizuję, ale naprawdę taki jest. Fuckin' perfect. Przecież tylko powiedziałam, że jest elegancki i przystojny, ale tu wcale nie o to chodzi. Bo to jest tylko ta cała zewnętrzność, która byłaby tylko ładnym workiem na buty – takim ładnym, niebieskim, z naszytym z przodu muchomorkiem. A w środku przepocone trampki. Chodzi mi właśnie o to, że mój Przyjaciel wcale nie jest śmierdzącym trampkiem. Całe stado chłopaków są nosicielami wewnętrznego syndromu śmierdzącego trampka.

Mój przyjaciel ma w sobie coś takiego, że gdy jedziemy autobusem, czuję dzikie spojrzenia dziewczyn, a czasem nawet kobiet w wieku różnym. Wtedy, niby tak o sobie, że niby tak przypadkiem (a nawet z przyzwyczajenia) zaplatam moją rękę o jego przedramię lub wkładam ją do jego kieszeni. Czasem nawet wtulam się w jego zimny płaszcz zimowy lub wiosenną kurtkę z chytrym uśmiechem. I ich roznamiętnione spojrzenie przechodzi na mnie z wyrazem szczerzej nienawiści. On doskonale wie, dlaczego to robię i zawsze mnie za to strofuje. Mój przyjaciel właśnie taki jest: niczego nie rozumie.

On nawet nie wie, że te dziewczyny marzą o tym, aby zrobił im dziecko. Wcale nie żartuję, bo ja myślę dokładnie o tym samym, ale to jest jedna z tych rzeczy, których on o mnie nie wie, bo trudno by mi było się do tego przyznać. Naprawdę ta informacja do nasze-

go nietuzinkowego związku nic by nie wniosła, nic by nie zmieniła. Prawdopodobnie mój przyjaciel śmiałyby się ze mnie, dokuczał by mi ciągłymi docinkami, a całą historię traktowałby jako świetną anegdotę do opowiadania swojemu chłopakowi.

PAWEŁ MATEJA  
godło: „Der Golem”

wyróżnienie w kategorii prozy



*PAWEŁ MATEJA – z wykształcenia i zawodu informatyk, po godzinach pracy redaktor serwisu [CarpeNoctem.pl](http://CarpeNoctem.pl) poświęconego literaturze grozy. Publikował w „Magazynie Fantastycznym”, „Kozimryнку”, „Grabarzu Polskim” i „Biuletynie Carpe Noctem”. Ma 25 lat.*

## DOLEGLIWOŚCI

Nie ma jednego momentu w czasie, który można by obrać za początek tej historii. Ojciec płodzi ojca, inny matkę, ci kolejne pokolenia. Wdech i wydech, słowo za słowem, wdech i wydech. Siadają przy stole, osiedle rośnie, twarze starzeją się, zmienia się pokolenie, z ojca powstaje matka, z matki ojciec. Ktoś spluwa i ślina pada pod drzewo. Drzewo pada pod siekierą. Wyrasta osiedle, ściany robią się szare i brudne. Ludzie wchodzą do domów; wychodzą. Głosy, wdech wydech, krzyki za ścianą.

Gdyby popatrzeć na scenę z miejsca Boga, byłaby to tylko szara plama, pełna światła i hałasu, w nocy wygasająca, jakby zamykało się oko, spoglądające z tęsknotą na boskie oblicze. Światła jeszcze raz się zapalają – na ziemię spada śnieg.

Ciężkie kobiece buty przytupują na starym przemoczonym ręczniku w przedpokoju. Zmarznięta dłoń upuszcza na komodę sterkę papierów. Słysząc jak dwakroć obraca się mechanizm w zamku. K. pada bezwładnie w fotel. Kręci jej się w głowie od wysiłku, jakim było wejście po schodach, jakim było słuchanie lekarza. Dopiero teraz, w domu, czuje się bezpieczna, odcięta od tych bzdur, którymi karmi ją medycy. Cierpi przez swoje dolegliwości.

Ze swojej sypialni wychodzi Matka. Ma na sobie szlafrok, choć jest już popołudnie. Wodzi dookoła błędnym wzrokiem. Wpierw nie rozpoznaje K., później jej wzrok na moment rozjaśnia się. Uśmiech rozszerza usta i znów gaśnie. Matka ma również swoje dolegliwości, o wiele większe, o wiele trudniejsze do zniesienia dla całej rodziny.

– Byłaś gdzieś? – pyta patrząc w ścianę. Trudno się przyzwyczaić do jej sposobu mówienia. Jakby słowa tylko przypadkiem wydostawały się na zewnątrz.

– Wróciłam z przychodni. Nic ciekawego, jestem zmęczona.

Matka wraca już do sypialni, nie czeka na koniec rozmowy. Słowa przestają do niej docierać.

Przez klejące się ze zmęczenia powieki sący się żółte i mdłe światło wiszącej na suficie lampy. Dziewczyna wstaje jeszcze z fotela, opuszcza żaluzje, tak by przedostawała się przez nie tylko część światła dziennego. Powietrze w mieszkaniu jest duszne i ciężkie, wdychane i wydychane przez rodzinę ciągle i ciągle. Jest zima i prawie nie otwiera się okien, by nie wypuszczać ciepła. Zapach jest nieprzyjemny, ale K. znajduje w nim ukojenie. Oddech powoli wraca do normy. Jest nieco szeleszczący, ale tętno staje się równe. Słabe, ale miarowe. K. zapada w lekki sen nawet tego nie zauważając. Sen staje się mocniejszy.

Matka ponownie wychodzi ze swojej sypialni, sięga po stos papierów, które przyniosła córka. Przegląda je w skupieniu, ale nie jest w stanie odczytać ich treści. Niedbale odkłada ulotki, książeczkę medyczną, recepty i skierowania na miejsce. Przechodzi do kuchni, po drodze upewniając się, czy drzwi wejściowe są dokładnie zamknięte. Zatrzymuje się między zlewem a stołem, starając się przypomnieć, jak się tam znalazła. Opada na krzesło, ręce składając na kolanach i siedzi tak długo – jedną godzinę, drugą.

K. śpi na fotelu, nie słysząc jak na podwórku rozszczekuje się pies, jak dzieci biegną w dół klatką schodową, jak dzwon kościelny odzywa się żałośnie, ogłaszając śmierć jakieś osoby.

Popołudnie coraz późniejsze; przekręcony w zamku klucz wgryza się w sen niemiłym chrobotem. Ojciec wnika do środka przez niewielką szparę. Ma nogi jak pajęczak, przenikliwy wzrok, którym zaraz lustruje całe wnętrze, jeszcze nim położy teczkę na komodzie, zrzucając papiery przyniesione z przychodni zdrowia. Podnosi je, przegląda pobieżnie i gniece, mruczając pod wąsem coś opryskliwego. Dokładnie sprawdza drzwi, przekręca zamek do samego końca. Później siada w kuchni i przegląda recepty i skierowania jeszcze raz, by w końcu wyrzucić je do kosza.

Ojciec je zimną żupę, dolewając raz za razem z ogromnego garnka. Siorbie i chlipie, podczas gdy Matka siedzi ze zwieszonymi rękami i patrzy przed siebie. Po skończonym posiłku, pocałowana przez ojca jest nieco pobudzona; wstaje więc i zagaduje coś o wyjeździe na wakacje, choć nie wyjechali nigdzie od lat i choć tego nie planowali.

Urywa jednak w środku zdania i zbliża się do drzemiącej w fotelu K., uśmiechając się do ściany.

– Jesteś w domu? Już wróciłaś? – pyta.

K. kiwa głową i odpowiada, mając przed oczyma gniecione, niszczone recepty, ulotki.

– Nie pójde tam już więcej.

Może teraz odetchnąć, może zamknąć oczy i śnić dalej. Słowa te przynoszą ulgę, świat staje się mniejszy i bezpieczny.

Jest już późny wieczór, zimny, ciemny i cichy. K. odprowadza matkę do sypialni, gdzie tamta momentalnie nieruchomieje na łóżku, oddychając miarowo. Ojciec czyta listy, które listonosz właśnie wsunął pod drzwi. Później wrzuca je wszystkie do kosza, mówiąc że to bzdury. Kiedy K. wychodzi z kuchni, dalej słyszy jego perorę. Wchodząc do wanny, słyszy przez drzwi jego donośny głos. Dziewczyna długo siedzi w ciepłej wodzie, patrzy na swoje ciało, które staje się coraz bardziej kruche; błękitne żyłki są doskonale widoczne na pobladłej skórze, włosy na rękach są ciemne i sterczące z powodu gęsiej skóry. Dolegliwości uzewnętrzniają się subtelnie, ciało zmienia się na razie tylko nieznacznie. Puchną węzły chłonne, oczy zapadają się nieco w zmęczonej tkance. Spierzchnięte wargi, kruche paznokcie, wiotczące, skurczone piersi.

K. wyciera się stojąc przed lustrem. Przeciąg idący od małego okienka przenika ją doszczętnie. Okno jest nieszczelne, ale to nie dlatego K. dokładnie je zasłania. Czuje słabość ciała, nie chce, by ktoś przez przypadek zobaczył fragment jej ramienia, brzucha, uda. Jest zwiotczała, wychudła i słaba. Wyjście z domu coraz bardziej ją męczy. Przemywa szybko twarz, ubiera starą piżamę. Później, leżąc w łóżku, słyszy jeszcze przyspieszone bicie własnego serca.

Przychodzi sen, K. jest na uczelni, ale innej niż zapamiętana sprzed urlopu dziekańskiego. Korytarz pachnie jak apteka, jak gabinet dentystryczny, ciągnie się w nieskończoność rzędem drzwi. K. jest już spóźniona na zajęcia, które prowadzić ma tego dnia sam dziekan. Podchodzi do niej przyjaciółka A., ale ona spóźniona nie może się zatrzymać, w pędzie wymieniają pozdrowienia. Tamta ma szyję owiniętą bandażem. Mijają się i A. pada na podłogę w drgawkach.

Sen toczy się dalej, korytarz znika, już przed drzwiami sali studentka łapie oddech. Z trudem otwiera drzwi, jednocześnie trzymając

w dłoniach stos literatury z prawa i socjotechniki. Prowadząca stoi na progu, zaprasza do środka.

K. podchodzi do stołu sekcyjnego, ściąga biały szlafrok i kładzie się naga, czując na sobie spojrzenia setki osób. Magister podchodzi do niej ze skalpelem i po szybkim rozcięciu brzucha, które promienieje zimnem, K. widzi wyciągane ze środka narządy: żołądek budzi chichot studentów, jest jeszcze pełny jedzenia, które ulewa się na ziemię. Kolorowa, oślizgła plama z ciemnej kawy i kanapek. Wątroba, serce, jajniki i jakieś paskudne stworzenie, krocionoga grubego jak palec. Sala nachyla się z zainteresowaniem, rodzice kiwają głową zmartwieni, ktoś podchodzi, bierze stwora do ręki z widoczną odrazą. „To rak” – słyszy K. i wyrывa się ze snu. Jest jeszcze przed świtem.

Tego dnia nigdzie nie ma zamiaru wychodzić. Ma lekką gorączkę, nocne fantazmy źle wpłynęły na jej samopoczucie. Zostaje więc z mamą; ojca już nie ma, wyszedł do pracy, zabrał ze sobą teczkę. Zniknęły też śmieci z kosza, pewnie wrzucił je do kontenera na podwórku.

Mama zwykle po przebudzeniu odciąga zasłony, tego dnia jednak widocznie o tym zapomniała i mieszkanie tonęło w półmroku. K. nie miała ochoty tego zmieniać. Wyjrzała tylko przez szczelinę na podwórko. Śnieg topniał, woda lała się strugami z dachu. Paskudna pogoda, niezdrowa. Ktoś na podwórku odrzucał łopatą śnieg ze ścieżki. Przez chwilę spoglądała mimowolnie na pracującą osobę, ale gdy ta spojrzała w kierunku okna – być może całkiem bez związku, bo właśnie odpalała papierosa – spłoszyła się i odsunęła od okna.

Ciepła herbata rozgrzewała jeszcze nierozbudzone do końca ciało. K. patrzy na krzątającą się bez większego celu matkę. Ta próbuje ustawić jakiś ład nad walającymi się po blatach przedmiotach, bezskutecznie jednak, bo tylko przekłada rzeczy z jednego miejsca na drugie, niektóre wkładając do szuflad i szafek, nie zawsze jednak w przynależne im miejsce. K. patrzy na nie do końca świadomą swych dolegliwości rodzicielkę, czuje smutek i litość, odzywające się przykrym kluciem w sercu. Obserwuje też reakcje swojego ciała. Lekkie drżenie rąk, bladość cery, narastającą słabość.

Dzień mija bezszelestnie. Ojciec wrócił i zjadł wczorajszą zupę. Matka ucieszyła się na jego widok, pocałowała zarastający policzek i zaraz zapomniała o całym zdarzeniu, usiadła na krześle, patrząc w je-

den punkt. Tato opowiadał o dniu w pracy, ale K. z trudnością skupiała uwagę na jego gadaninie. Potakiwała tylko miarowo. Potrzebowała tylko kojącego głosu, który co dzień ogłaszał te same fakty, oskarżenia i deklaracje.

Nagle ojciec przerwał mowę – chwycił chodzącego po ścianie pajaka i wepchnął sobie do ust, polykając stworzenie. Potok zdań znów znalazł swoje ujście, ale K. miała dalej przed oczami zdarzenie sprzed chwili. Pokręciła głową, roztarła zmęczone już oczy. Głos taty to poczucie bezpieczeństwa. Duszne, przepocone powietrze mieszkania wibrowało nim. Mijały minuty.

K. zdała sobie sprawę, że nie zdążyła nawet przez cały dzień przebrać się z piżamy – teraz jednak już zbliżał się wieczór, nie było powodu robić z tym cegokolwiek – szczególnie, że czuła się coraz bardziej zmęczona. Dolegliwości dawały znać o sobie zgrubieniami na szyi, rosnącą temperaturą ciała, swędzeniem, które też sprawiało ogromną przykrość.

Rozdzwonił się telefon, powtarzając raz za razem sygnał, nikt jednak nie kwapił się by podnieść słuchawkę. To nie musiało być nic ważnego. Gdy po kilku minutach natarczywy dźwięk się ponowił, matka odebrała bez słowa. Przez chwilę słuchała dobywającego się z aparatu głosu – K. miała wrażenie, że rozpoznaje donośny alt – po chwili jednak oznajmiła, że proszonej osoby nie ma akurat w domu i można zadzwonić jeszcze raz później. Zapytana jednak o to, kto dzwonił, odparła, że nie wie, nie pamięta. Krótką chwilę na jej twarzy gościł wyraz irytacji, ale szybko ustąpił obojętności.

Później, przebywając w toalecie, mama wpada w furję, krzyczy na niejasne dla innych widmo, wyzywa od kurew, potępia w najlepsze, okłada klątwami, głos ma tak pełen jadu, że można by pomyśleć, iż to minęły jej dolegliwości. K. jednak wie, że tak nie jest, że to tylko chwilowe, okresowe rozbudzenie, że zaraz minie, że po nim nastanie cisza.

Nie ma nic, nastaje cisza.

Noc dopiero się zaczyna, ale dziewczyna kładzie się do łóżka. Wcześniej opuszcza zasłonę, by światło sąsiednich bloków nie wnikało do pokoju. Zamyka okno, do końca odkręca zawór grzejnika, żeby w nocy nie zmarznąć. Z otwartymi oczami leży i słyszy, jak łóżko w pokoju rodziców skrzypi regularnie. Matka musi leżeć tam nieru-

choma, poddawana posuwistym ruchom łędzwi ojca. Inne dźwięki do niej nie docierają, ale leży i słyszy i czuje. Słucha, leżąc na plecach, bez ruchu, starając się nie zagłuszyć ni jednego skrzypnięcia.

Później wszystko milknie, K. zasypia chwilę później. Ojciec ogląda telewizję, z wyciszonym dźwiękiem – o tej godzinie takie rzeczy by go drażniły. Wystarczą same kolory, plamy i ruch, który wypełnia ekran. Ojciec zamyka oczy i chrapie, a światłość pościgu i strzelaniny pada mu na twarz.

K. przewraca się w łóżku niespokojnie. Spada z niej kołdra, zsuwając się na dywan. K. sapie, mówi coś niewyraźnie, marszczy czoło, przesuwa ręce po prześcieradle. Odsłania się jej nagi brzuch, łapie się za niego, uspokaja na moment. Zaraz jednak niepokój wraca, narasta i trwa całą już noc. Nikt nie słyszy jej sapania, choć przecież ona słyszała wcześniej ojcowskie. Matka śpi bez ruchu, na plecach, nabiera ogromnych rumieńców, aż do odcienia purpury. Pachnie nasieniem, które jeszcze wycieka jej z między ud, chłodząc skórę. Nie rusza się jednak, nie ruszają się nawet gałki oczne pod powiekami. Chrapanie męża do niej nie dociera, nie dociera światło latarni, prześlizgujące się przez nie do końca opuszczoną żaluzję. Nie pamięta o córce, nie pamięta o swoich dolegliwościach.

K. budzi się nagle, pełna złych przeczuć, pełna grozy, która jeszcze napływa z koszmarów. Zrywa się i na chwiejnych nogach obchodzi cały dom, sprawdzając zamek w drzwiach, domykając rozszczelnione okna, zasłaniając do końca zasłony. Dopiero wtedy kładzie się na powrót, oddech powoli się uspokaja.

Oddech u matki niemal ustaje, skóra staje się szara jak papier do pakowania.

K. zasypia, ojciec przebudzony w pół nocy z telewizyjnej drzemki wraca do łóżka, matka zapada w letarg i nie budzi się już rano.

K. nie odsłania okien.

Ojciec wychodzi do pracy i wraca z powrotem po raz ostatni.

O godzinie osiemnastej dzwoni telefon. Dzwoni tak długo i natrętnie, że drżące od różnych dolegliwości ręce wyszarpują z gniazdka wtyczkę.

I nastaje noc, którą K. zauważa zbyt późno. Cały dzień mieszkanie rozświetlało światło żarówkowe. Przez odchyloną żaluzję oko dziewczyny obserwuje podwórko – mdłe światło latarni pada na bawiące

się w brudnym śniegu dzieci. Widać jedynie kilka sąsiednich bloków. Dalej tylko ciemność, nawet w oknach nie pali się światło. Musiała to być jakaś przerwa w dostawie elektryczności. Chodnikiem przechodzi znajoma z małym pieskiem. Spogląda w okno K., ta usuwa się na moment, mając nadzieję, że nie została dostrzeżona. Wygląda z dnia na dzień starzej, słabną mięśnie. Noc nie przynosi odpoczynku, nogi ciągną się po podłodze. Piżama zaczyna trącić potem, na rękawie i brzuchu wykwitły plamy po jedzeniu. K. ma przetłuszczone włosy, podbite oczy.

Nagle w szybę trafia twarda kulka śniegu. Dłoń puszcza żaluzję, serce przyspiesza bicie. Mija kilka minut, nim K. dochodzi do siebie.

Matka leży, przykryta nieświeżą kołdrą. Jeśli dobrze się przysłuchać, okazuje się, że oddycha, choć bardzo powoli i płytko. Jej skóra straciła niemal całą barwę, ciało ma miękkie, bezwładne. Jest tak cicha, delikatna, bezbronna. Córka okrywa ją dokładnie kołdrą i sama zabiera się do snu. Ojciec stoi w rogu kuchni, u nóg trzymając teczkę. Ma na sobie tylko majtki, koszulę, marynarkę. Stoi godzinę, gładząc tapetę, drapiąc się drugą ręką w pośladek. Talerz z obiadem, który K. przygotowała dobrych kilka godzin wcześniej leży nietknięty.

Jeszcze wcześniej niż poprzedniego dnia dziewczyna kładzie się spać, ale budzi się co jakiś czas dręczona dolegliwościami. Słyszy, jak ojciec wraca do przytomności, jak idzie do sypialni, jak łóżko ugina się pod jego ciałem i jak skrzypi raz za razem, gdy leży na matce. K. ma oczy otwarte. Słucha długo, aż w końcu zasypia. Mija jakiś czas i znów otwierają się jej oczy. Znów zamykają się, mija jakiś czas.

I tak mijają kolejne dni. K. wstaje, przechodzi z pokoju do kuchni, z kuchni do łazienki, później do pokoju rodziców, gdzie brzuch matki rośnie – co noc odrobinę – ale już po kilkunastu dniach jest wyraźnie wypukły. K. odchyła kołdrę, podnosi matczyną koszulę nocną i obserwuje wybrzuszenie. Skóra całego ciała za to blednie, jest szorstka i ma kolor brudnego papieru. Matka nie oddycha prawie wcale.

Tak mija dzień za dniem. Gdy K. budzi się, jeszcze drżąc od dolegliwości, które skręcają w nocy jej ciało, Ojciec już dawno stoi w rogu kuchni. Stoi tak od rana, od godziny siódmej. Mija kwadrans po piętnastej, odwraca się, siada przy stole i je coś. Wyciąga z kieszeni owa-  
dy, jajka, chleb, zjada w milczeniu.

Jednego razu dziewczyna widzi swojego ojca pod sufitem, przyczajonego jak do polowania. Skulony w kącie pełnym kurzu i pajęczyn uczeplił się ściany i wisi tak w milczeniu, zupełnie nie zwracając na nią uwagi.

Innego razu budzi ją z koszmaru krzyk. Jeden, samotny i nagle urwany.

Znów innego dnia klamka drzwi wejściowych zaczyna się poruszać, ktoś puka i wciska dzwonek. Ojciec zdaje się tego nie zauważać. K. stoi ze wstrzymanym oddechem, stara się nie wydać żadnego dźwięku. Boi się, że drzwi w końcu się otworzą, ktoś wejdzie i zobaczy jej przepoconą piżamę, że ktoś wejdzie, zakłóci spokój. Że zatraci się rytm w którym dzień i noc postępują za sobą tak jednostajnie i spokojnie.

Dni mijają za zamglonymi oczami, pośród pulsującego gdzieś w środku bólu. K. przemierza mieszkanie z kąta w kąt, rozciera zmarznięte dłonie, garbi się coraz mocniej, blednie. Czasem pokasłuje cicho, czasem przysiada, dyszy ciężko i rozciera skronie. Czasem znów nie wstaje z łóżka przez wiele godzin, albo w fotelu zagapia się w jeden punkt. Nie podchodzi już do lustra, nie bada zmian, które postępują na jej ciele.

Raz czy dwa zerka przez okno, ale akurat musi panować środek nocy, bo na zewnątrz widać tylko efemeryczne kształty pokrzywionych drzew i zarysy sąsiednich bloków. Dalej nie ma już nic – jakby w oddali zawieszono rozległą czarną płachtę. Jakby świat zamknięto w pudełku, jakby Bóg zapomniał o swoich drobnych zabawkach.

Raz czy dwa razy coś uderza w szybę. Może to grudka ziemi, może ptak, który nie zauważył w ciemności nierozjaśnionego okna, jedynie mały snop światła, który wabi go ciepłem i który zaraz znika. Wtedy serce dziewczyny zaczyna bić mocno, strach przed tym, co czyha na zewnątrz, rośnie.

Bo Bóg zostawił swe zabawki same w klatce, by zjadły się wzajemnie.

Światło żarówek nie gaśnie już ni w dzień ni w noc. Jedna tylko przepalona nagle strzela i w przedpokoju zapada półmrok. Zza drzwi wejściowych dochodzą jakieś dźwięki – ni to kroki sąsiadów, ni powarkiwanie jakiegoś nieznanego zwierza, jakiegoś monstra, który zje każde, nawet zimne, chore i blade mięso.

K. z dnia na dzień coraz to niżej podnosi nogi, gdy snuje się krótkim korytarzem. K. zaczyna kaszlać, odkrztusza gęstą flegmę i w oddechu niesie szumy, szelesty i lepki chłupot.

Ojciec raz to wciska nos w kąt kuchni, raz gapi się w drzwi sypialni, albo na matkę, raz znika gdzieś, zostawiając ślady stóp na suficie. Czasem znów nasłuchuje odgłosów z klatki schodowej, dzierży nóż; później znów znika w którymś z pokoi i przez wiele godzin nie było go ni widać ni słychać.

Jednego dnia K. znajduje na ziemi mały papiererek, paragon z apteki, na nim zapisana nazwa lekarstwa, które matka brała na swoje dolegliwości przez wiele miesięcy. Zabiera go do kuchni, zostawia na blacie i jakby na chwilę pobudzona zagląda do lodówki. Wnętrze jest spleśniałe i zepsute, coś czarnego kłębi się w rogu pojemnika na warzywa. Wielka chmara wstrętnych larw. Na piecu gazowym stoją puste garnki, w zlewie zaschnięty talerz po zupie. W nim widelec, kość kurczaka, kilka listków pietruszki.

I nagle rozlega się krzyk.

Matka leży z otwartymi ustami, zimna, zapadła w sobie, jakby uszło z niej powietrze.

Wielkie, nieforemne jajo leży pod kołdrą, między jej nogami. Jest całe pokryte śluzem jeszcze ciepłe. Matka jest zapadła i wiotka, jakby usunięto z niej wszystkie wnętrzności.

K. gładzi umęczone czoło rodzicielki, leżącej pod przykryciem.

Ojciec przychodzi, patrzy na wszystko przez kilka minut i znika gdzieś na długo.

Na stole kuchennym nie ma już kawałka mało znaczącego papierka, który K. zostawiła tam wcześniej.

Przez drzwi pokoju dziewczyny dochodzą głośnie jęki, krzyki, szamotanina. Ojciec stoi w kuchni od kiedy poszła spać. Stoi tak długo, patrzy w kąt, na pajęczynę, ale nie pojawia się na niej żadne stworzenie, wszystkich jej lokatorów już dawno zjedzono.

Przez drzwi pokoju K. słyszc szelest kołdry, słyszc ciche pochlipywanie, urywki słów.

Tak mija pora snu. Ile trwa? Kilka godzin? Dzień? Miesiąc?

Matka zaczyna oddychać wyraźniej, choć jej ciało nie wraca do dawnej jędrności. Jajo rosnąć wyszło z niej całe mięso. Leży ono nadal w cieple, w ciemności. Wszyscy śpią, a cisza jest tak głęboka, że gdy rozlega się regularnie krzyk z pokoju K., wypełnia na chwilę wszystkie kąty, wszystkie załomy, cienie, przestrzenie otwarte i zamknięte, wypełnia otwarte usta matki, wnika przez nos do płuc ojca, odbija się od twardej skorupy jaja.

A jeśli ktoś budzi się ze snu, to tylko na kilka chwil, tylko by przejść kilka razy tę samą ciągle trasę, dotknąć tychże samych miejsc, przedmiotów. I by znów dać na długi czas zamrzeć wszystkim ruchom, by dać odpoczynek ciałom, które toczą różnorakie dolegliwości. Nawet matka, choć tak słaba, choć zapadła i sucha, kilka razy przebudzała się ze snu i drżąc na oślep ruszała palcem czy wargami.

Aż rozpęka się skorupa i spod kołdry rodzicielskiego łóża wypelza coś o ośmiu nogach, by przemknąć korytarzem, do kuchni, w pokój i pleść sieć misterną, z mocnych, grubych włókien. Nikną pod nią okna i drzwi i odpływ wanny i wszystko inne.

K. otwiera w końcu oczy i zapala lampę. Światło z trudem przenika przez sieć, która zdobi klosz.

Podłogę korytarza zdobią śluzowate ślady, po których dziewczyna dociera do sypialni rodziców, do pustej skorupy jaja.

Ojciec swoim zwyczajem przebywa w kuchni. Zawisł głową w dół z pajęczyny i czubkami palców kreśli jakieś znaki po stole. Gdy K. zbliża się do niego, rodziciel bierze rozmach i buja się jak wahadło zegara. Spomiędzy zębów wystaje mu mała karteczka – wymachem wypływa ją na stół i którą momentalnie w paszczę porywa potwór-braciszek, zaraz znikający w drzwiach rodzicielskiej sypialni.

Tam K. go znajduje, zjadającego matczyną nogę, na której brakowało już kawałka stopy. Rodzicielka popadła znów w swoje dawne odrętwienie, wywołane dolegliwościami i leżała w bezruchu.

Znikła gdzieś skorupa jaja, jedynie odrobina rozlanego śluzu zasychała na pościeli.

K. wraca do swojego pokoju, mijając gęste nici pajęcze i dziwne runy nabazgrane na ścianach. Nagle łapie się za gardło, które już całe nabrzmiało jest od dolegliwości. W mdłym świetle dostrzec można, że dłonie dziewczyny przypominają ręce starej kobiety. Wiotkie, powykęcane palce powleczone marszczącą się, bladą skórą. Stoi tak

przez chwilę, oddychając intensywnie i rzuca się naraz szukać drzwi wejściowych mieszkania. Te jednak całe pokryte są ogromnie grubą warstwą pajęczyny, przez którą nie sposób się przebić. Zatacza się do kuchni i z korytarza można usłyszeć, jak drapie przydługimi paznokciami o zapieczętowaną okiennicę, jak trzaska krzesło, jak garnek spada z pieca do zlewu i jak talerz z zaschniętymi resztkami pęka z trzaskiem. K. zatacza się z powrotem do przedpokoju, ledwie ślaniając się na nogach. Oczy nieomal mogłyby wypaść jej z orbit, tak są nabrzmiałe i wielkie. Dziewczyna chwytła klamkę drzwi swojego pokoju, resztką sił otwiera, robi krok do środka i pada z łoskotem na dywan.

Pada i momentalnie nieruchomieją jej nogi, które wystają na zewnątrz pokoju, którego wnętrze jest ciemne i z trudem można by tylko dostrzec jakieś zarysy wnętrza. Ale nie ma tam nic interesującego.

Długi czas przez leżące ciało przebiegają drgawki i można by, czekając na finisz, rzucić okiem na kuriozalne malowidła, zdobiące ściany. Pojawiły się znikąd, jakby stworzone w przypływie natchnienia w jedną godzinę, może kwadrans. Symbole łączą się wzajemnie, krzyż i fallus, wielkie oko, gdzie indziej słońce, Trójca Święta. A może nie? Może nie ma w tych liniach i plamach sensu? Może to tylko zacieki i odciski rąk nurzanych w jakieś brei. Inaczej patrząc na malowidła, można się doszukać w nich symboli, które często znaleźć można na opakowaniach leków, można dostrzec jakiś numer telefonu, jakieś prymitywnie kreślone postacie. A może nie? Jest ciemno i kształty tracą sens i wymiar.

Zapada czas letargu, który braciszek spędza wraz z ojcem na pajęczynie, pod kuchennym sufitem. Matka śpi, nie mając już nóg poniżej kolan.

Gdyby tylko było to możliwe, oko narratora opuściłoby teraz mieszkanie, wracając na osiedle, gdzie panuje teraz jesień, gdzie liście ozłacają zdziczałe topole, gdzie kasztany pękają pod ciężkimi butami, gdzie dzieci biegają, obok nich psy nurkują w stosach liści. Gdzie na ławeczkach odpoczywają emeryci, obok siebie kładąc torby pełne zakupów z przeceny, leków na mniejsze i większe choroby. Być może wraz z oddalającym się widokiem dałoby się jeszcze rzucić okiem na ciemne okna jednego z osiedlowych mieszkań, do którego od miesiący nikt nie wszedł, nikt też nie wyszedł, gdzie pod drzwiami piętrzy

się już stos ulotek, gdzie drzwi są zamknięte i nieustępliwe, a telefon milczy.

Oko narratora jednak oddala się i widzi tylko rosnącą wokół drobnego pudełka czerń. Pustka i próżnia rozciąga się od horyzontu po horyzont. I jest to widok tak zatrważający, że oko zamyka się nagle i cały obraz gaśnie.

KONRAD STANISŁAW KEMPA  
godło: „Kemkon”

wyróżnienie w kategorii prozy



*KONRAD STANISŁAW KEMPA – emeryt. Z zawodu inżynier mechanik energetyk, pracował w Elektrowni Blachownia oraz w Technikum Energetycznym. Żona Krystyna, dwoje dzieci, dwóch wnuków i dwie wnuczki. Ma 69 lat.*

## OCALIŁA MNIE SUKNIA

Wspomnienia odżywają, kiedy oglądam stare albumy i fotografie, serce ponownie boli, puls rośnie i z niedowierzaniem powtarzam: „Aleś miał chłopie szczęście”, „Chwała Bogu, że pozwolił mi przeżyć koszmar wojny i okupacji”.



1927 rok. Z moją rodziną. „Warszawiacy” stoją w drugim rzędzie, od lewej ja, brat Franek, brat Jasiu i siostra Maria

W czasie wojny od pierwszych dni, aż do zakończenia przebywałem w mojej ukochanej Warszawie. Jakżebym mógł ją opuścić w trudnych chwilach. Dlaczego losy rzuciły mnie do Warszawy, kiedy urodziłem się w Ostrzeszowie w roku 1914 w małym miasteczku w Wielkopolsce. Jeszcze przed wojną tuż po wojsku wyjechałem wraz z moją dziewczyną Helenką do Warszawy, gdzie wcześniej jeszcze wylądował mój brat Jasiu, chcąc zostać zakonnikiem u salezjanów. Wyjechał on ze swego miasteczka z Wielkopolski za podpowiedzią Cyganki,

która mu wywróżyła, że czeka go wielki świat, że się marnuje w tym zaściankowym Ostrzeszowie, że jest powołany do wyższych celów itd. Jak wywróżyła tak też zrobił. Wyjechał do stolicy i tam żył do końca, a umarł mając 97 lat. Ja też zaplanowałem tam kiedyś wyjechać.



Z siostrą Marią w przedwojennej Warszawie

Po przybyciu do stolicy do brata, natychmiast podjąłem pracę jako malarz, wpierw w firmie Plachcińskiego, potem w firmie Hartman. Moja przyszła żona zameldowała się u państwa Marzęckich na ulicy Glogera przy Instytucie Radowym. Sąsiadami jej byli państwo Dygato-wie, Zamojscy i niejaka Pelagia Tomczak, przyszła jej koleżanka pochodząca też z Wielkopolski z Dolska koło Śremu.

Jeszcze przed Jasiem do Warszawy wyjechał też mój drugi brat Franciszek i siostra Maria. Wszyscy zamieszkali na terenie, gdzie potem było Getto Warszawskie. Brat Franek z zawodu był introligatorem, a fachu uczył się nawet we Włoszech w Torino.

Jeszcze będąc w wojsku polskim na kresach wschodnich, urlopy spędzałem u swego brata Jasia w Warszawie, bo interesowało mnie życie w wielkim mieście.

Służbę wojskową odbywałem jako łącznik telefonista w Korpusie Ochrony Pogranicza w Kownie. Po powrocie z wojska krótko cieszyłem się swobodą i wolnością, bo po kilku latach wybuchła wojna, która zastała nas wszystkich w Warszawie i wtedy zaczęło się piekło, a my byliśmy w samym jądrze tego piekła. Zaraz też w ramach powszechnej

mobilizacji zostałem wcielony do Wojska Polskiego i musiałem stawić się do swojej jednostki macierzystej. Kiedy przybyłem na wschodnie pogranicze do Kowna, trafiłem natychmiast do niewoli sowieckiej wraz z całą jednostką, a to ze względu na agresję „wielkiego brata” na Polskę na początku wojny. Znaleźliśmy się w Równym, gdzie nas wszystkich armia niemiecka zabrała do niewoli. Przez Lublin, Radom przetransportowano nas do Niemiec do obozu jenieckiego do Neubrandenburg do Stalagu 2A.

W obozie tym przebywałem kilkanaście miesięcy w straszliwych warunkach, a za dobre sprawowanie pozwolono mi na pracę w gospodarstwie rolnym u Bauera. Pracowałem przy pracach polowych oraz niekiedy jako woźnica mleka do zlewni. Tam też na pamiątkę i dowód rzeczowy dla rodziny udało mi się wykonać zdjęcie i przesłać do brata Ludwika. Pomyślałem sobie, że o ile nie wrócę to chociaż zdjęcie pozostanie w albumach.

Brat Ludwik (z zawodu krawiec) nie wyjechał do Warszawy, ale został na miejscu, więc list mój powinien trafić do adresata. Ostrzeszów był zagrożony w pierwszych dniach wojny. Niemcy pierwsze ataki bombowe skierowali akurat na tereny, na których leżą wzgórza ostrzeszowskie, czyli pogranicze ówczesnej Polski. Czasami zastanawiałem się, dlaczego ludzie z tych terenów nieraz całymi rodzinami uciekali przed wrogiem na wschód, kiedy na miejscu panował względny spokój. Pędzili na ślepo jak „owce do ognia”.



1937 rok. Na przepustce w Warszawie



1936 rok. Korpus Ochrony Pogranicza Kowno – jako łącznik telefonista



1940 rok. Ze współwięźniami  
w Neubrandenburg



1940 rok. Obóz jeniecki  
w Neubrandenburg;  
ze współwięźniem

Chęć ucieczki i powrót do rodziny i mojej narzeczonej spędzały mi sen z powiek, więc skoro tylko nadarzyła się okazja, porzuciłem konia i wóz na łaskę losu i udałem się na Bahnhof na bocznice kolejową, bo tam czekał skład, który miał jechać w kierunku wschodnim i umieściłem się pod wagonem. Miejsce wybrane wymościłem sobie kufajką obozową, bo w takim stroju pracowałem poza obozem. Zimno mnie ogarnęło, ponieważ była noc księżycowa i wkrótce nad ranem po kilku manewrach skład ruszył w nieznanym mi kierunku. Pociąg składał się z cystern z napisami IG Farben Industrie Blechhammer. Jeszcze nie wiedziałem, gdzie to jest, ale domyślałem się że gdzieś niedaleko mojego rodzinnego Ostrzeszowa. Trwoga o przetrwanie mieszała się z radością, że może mi się uda uciec w ten sposób. Gdyby mnie wykryto to śmierć pewna, więc obawa była tym większa.

Jazda trwała kilka dni, aż w końcu cysterny zaczęły przetaczać i wtedy zdecydowałem się wydostać z tego wyjątkowego posłania. Zauważony przez wartownika, kiedy przeskakiwałem wysoki płot betonowy, błagałem go o pomoc, a on zdziwiony moją determinacją wskazał mi kierunek ucieczki. Powiedział tylko: „masz szczęście że trafiłeś na mnie, bo ja jestem tutejszy”. Trafiłem na jeszcze jeden płot i przez wyłom w nim przedostałem się na zewnątrz zakładu, a potem udałem się w kierunku wioski, aby trafić na pocztę.

Droga dłużyła mi się, bo szedłem lasem wśród bunkrów takich w kształcie jaja i takich olbrzymich stanowiących schron przeciwlotniczy. Na poczcie napisałem list do brata, że żyję i jestem już w Polsce, a wysłałem bez znaczka i o dziwo list ten dotarł do adresata. Musiałem wrócić, ale już inną drogą i trafiłem przypadkiem na tory kolejowe i stojący tam pociąg na bocznicy.



Żona z koleżankami w Warszawie w czasie okupacji. W tle widać żołnierzy Wehrmachtu. Zdjęcie wykonane z ukryci – u góry to samo zdjęcie jako „wglądówka”, fotograf musiał być dobrze zamaskowany.

Do Warszawy dostałem się tym samym sposobem, ale niestety z przesiadkami. Po raz pierwszy moje nazwisko zostało u Niemców zarejestrowane i miałem świadomość, że jestem ścigany. Musiałem więc zachować zdwojoną czujność. Ku wielkiemu zdziwieniu i zakłopotaniu mieszkańców domu przy ul. Glogera zapukałem w nocy do drzwi, niestety już po godzinie policyjnej i nikt nie miał odwagi, aby mi otworzyć. Pana Marzęckiego, pełniącego obowiązki dozorczy domu, u którego potem mieszkaliśmy zabralo gestapo i wywiozlo chyba do obozu i już nie powrócił. Pośpiesznie udałem się do mojego przyszłego szwagra Idziego, brata mojej narzeczonej, który nieopodal mieszkał. Okazało się, że Idzi też dostał się do Warszawy, uciekając przed Niemcami z rodzinnej wioski wielkopolskiej, jako jeden z dwóch braci



1938 rok. W przedwojennej Warszawie z bratem Janem

ocalony przed rzezią jaką urządzili Niemcy w pierwszych dniach wojny w tej wiosce. Wymordowali wszystkich będących tam mężczyzn w odwet za zamordowanie w okolicy pewnego oficera Wehrmachtu. Zwłoki spalono w stodole u jego sąsiada, a dziś jest tam pomnik i tablica pamiątkowa o tym zdarzeniu. Uchronił się też jego brat Adam, który schował się w norze w pobliskim lesie.

Pewnego dnia zasiedzialem się u państwa Dygatów i mojej narzeczonej i ani się zorientowałem, że minęła godzina policyjna. Musiałem wrócić do mojego brata Franciszka na nocleg na ulicę Złotą. Kiedy z duszą na ramieniu dotarłem pod jego drzwi, zastałem mieszkanie opieczetowane i zamknięte przez gestapo. Byłem więc w tej sytuacji zmuszony mimo godziny policyjnej udać się do mojej siostry Marii, która mieszkała na tej samej ulicy. Okazało się, że brata Franciszka zabrała żandarmeria z Dworca Głównego, gdzie złapano go na handlu odzieżą roboczą. Próbował sprzedać buty gumowe i jakąś kufajkę, a handel uliczny był w tym czasie zabroniony w obawie przed spiskowaniem, podobnie jak zatrzymywanie się choćby na chwilę na ulicy. Jako intruz z zawodu miał z pewnością dostęp do tajnych dokumentów, więc dla Niemców był tym bardziej niebezpieczny. Zabrano go na przesłuchanie na aleję Szucha a potem na Pawiak, aby go w końcu rozstrzelać z innymi w pobliskim lasku. I znów prześladowało Niemców moje nazwisko. Bałem się więc każdej kontroli.

Niepewność co będzie z człowiekiem w każdej chwili spędzała sen z powiek i powodowała ogólną panikę, siała strach i zgrozę. Otóż

któregoś dnia spotkałem się przypadkowo z moim bratem Jasiem na ulicy, aby porozmawiać. To wyjątkowa okazja, bo kontakty nasze były ograniczone. Niemcy mieli zasadę, iż każde zatrzymanie się ludzi na ulicy jest zabronione i karane surowo, bo stwarza możliwość spiskowania. Nawet niewiele trwała ta braterska pogawędka, kiedy nadjechała „buda” i nas obu żandarmi wrzucili do niej. Po przesłuchaniu na alei Szucha pobili nas i wywieźli do obozu wraz z podobnymi ludźmi z łapanek i nie tylko do Lamsdorf (dzisiejsze Łambinowice) na Opolszczyźnie, do znanego ciężkiego obozu, i umieścili w Stalagu VIII B.

Obu przesłuchiowano, bito z zasady. Ta niebezpieczna sytuacja skończyła się dla brata pomyślnie, ponieważ posiadał Ausweis i imię Johan. Fakt, że był urodzony w Niemczech w Westfalii także przyczynił się do jego zwolnienia. Rodzice moi na początku wieku przebywali tam na pracach, podobnie zresztą jak dziś wyjeżdżają za chlebem, tak i wtedy wyjeżdżali. Ja natomiast urodziłem się nieco później, bo w roku 1914 w miasteczku w Wielkopolsce w Ostrzeszowie i miałem czysto polskie imię Stanisław. Byłem więc dla Niemców Polakiem, czyli wrogiem i nie pomogło mi przysięganie, że Johan jest moim rodzonym bratem. Brata po kilku dniach zwolniono, a ja niestety zostałem i stałem się więźniem tego obozu. W tym okresie w straszliwie ciężkich warunkach wraz ze mną przebywali jeńcy z rosyjskiej armii i jeńcy innych narodowości.

Pewnej nocy, zdeterminowany i gotowy na wszystko zdecydowałem się na zwierzenie wartownikowi o moim przypadku i niewinności. Potem okazało się, że był wielkiego serca, że znał język polski i chyba pochodził ze Śląska. Przedstawiłem mu, że przypadkowo i niewinnie złapany przez gestapo na ulicy dostałem się do obozu, że pochodzę z Poznańskiego i zostawiłem w Warszawie żonę w ciąży i małe dziecko. Że przybyłem tu z bratem, którego już wypuścili, bo urodził się w Niemczech i miał na imię Johan. Wartownik przejął się moją sytuacją do tego stopnia, że nocą bezkسیężycową, kiedy miał służbę, umożliwił mi ucieczkę przez dziurę w ogrodzeniu. W momencie ucieczki zdołałem jedynie spytać go o nazwisko. Tej nocy usłyszałem tylko imię Konrad, ale nazwiska już nie usłyszałem i nie zrozumiałem, bo było zbyt długie. Pomyślałem sobie, że o ile urodzi mi się syn to w dowód wdzięczności dam mu na imię Konrad.

Uciekałem w popłochu, aż dotarłem na jakąś boczną kolejową i metodą wypróbowaną, to znaczy pod wagonami, udało mi się zbiec i dostałem się aż do Częstochowy, a po drodze był Lubliniec. Skład jechał dalej i przez Zduńską Wolę dotarłem na obrzeża Warszawy. Nocą zapukałem do okna, a żona z duszą na ramieniu i pełna obaw wpuściła mnie nędznika, obdartusa i uciekiniera. Dekonspiracja powodowała każdorazowo niechybną śmierć i z tego zdawałem sobie sprawę.

Z żoną Heleną wziąłem po kryjomu ślub w czerwcu 1942 roku, a uroczystości weselne odbyły się w mieszkaniu państwa Dygatów na czwartym piętrze na ulicy Glogera. Okna były zasłonięte, światło przyćmione, a strój w niczym nie przypominał sukni ślubnej. Muzyka niosła się cicho, a patefon obsługiwała dziewczynka, córka owego dozorca, Regina lat 16, która potem z wielkimi kłopotami ze względu na niepełnoletność była matką chrzestną na chrzcie syna.



Zdjęcie ślubne

Życie wisiało na włosku i tak żyli mieszkańcy okupowanej Warszawy w czasie szalejącego terroru. Aby się względnie bezpiecznie poruszać, bo trzeba było jakoś funkcjonować, człowiek używał różnych forteli. Siła egzystencji wyzwalała w ludziach niesamowite i niezwykle działania. Za podpowiedzią mego przyjaciela Ostrowskiego z Miłosnej udałem się do Ambasady Francuskiej, bo tam pracownik tej placówki, niejaki Testar w randze pułkownika, dla Polaków wyrabiał „lewe” do-

wody osobiste. Wyjaśniłem mu, że nazwisko muszę zmienić, bo wciąż jest przez Niemców na indeksie. Bez namysłu zgodził się przygotować mi nowy dowód. Kiedy go odbierałem stwierdziłem, że nowe moje nazwisko brzmi Witold Jankowski urodzony we Francji. Nowych danych o mnie musiałem się nauczyć, aby się przypadkiem nie pomylić. Punktem zwrotnym potrzeby zmiany paszportu było kolejne ujęcie mnie, a zdarzenie było jak zwykle nieprawdopodobne.

Po kolejnej naszej przeprowadzce, tym razem na ulicę Kielecką, ponownie spotkałem przypadkowo mojego brata Jasia i kiedy na chwilę przystanęliśmy rozmawiając na ul. Rakowieckiej doskoczyło do nas dwóch niemieckich żandarmów, którzy mnie ujęli, a bratu udało się im zbiec. Wrzucono mnie przy wtórze kopniaków do „budy”, takiego specjalistycznego pojazdu kołowego bez okien, podobnego do budy i zawieziono na przesłuchanie. Kiedy już dotarliśmy na miejsce, wchodząc po schodach, zwróciłem uwagę, że nie mam guzików u marynarki. Wpadłem na genialny pomysł, aby się uwolnić z niej i uciec za wszelką cenę. Jak pomyślałem tak też zrobiłem. W jednej chwili wyrwałem się żandarmom i zacząłem uciekać, a marynarka wraz z dokumentami została w rękach Niemców. Prawdziwy cud się zdarzył, że w tej marynarce tym razem nie było medalika z Matką Boską, który otrzymałem od matki na ciężkie czasy, przed pójściem do wojska jeszcze przed wojną. Za rogiem jednym i drugim umykałem, przez piwnice i ruiny domów udało mi się zbiec, i od tej pory konieczność zmiany nazwiska była moim priorytetem.

Dnia 31 marca 1943 roku urodził mi się syn i bez namysłu, zgodnie z obietnicą, dałem mu na imię Konrad. Imię to nie przechodziło przez gardło wielu znajomym oraz współwięźniom w obozie przejściowym w Pruszkowie, do którego trafiliśmy po Powstaniu Warszawskim. Wielkie zamieszanie wywarł na mnie w tym czasie strajk Żydów w Getcie Warszawskim i stłumienie tego powstania. Z Umschlagplatz ma-



1943 rok. Żona z synem na ulicach Warszawy

sowo wywożono biednych Żydów na zagładę. Getto Warszawskie znajdowało się w miejscu, gdzie znajdowały się domy, w których mieszkali mój brat Jasiu, moja siostra Maria, brat Franek i szwagier Idzi. Film „Zakazane piosenki” doskonale oddał tę atmosferę w okupowanej Warszawie i przeżywałem go mocno, kiedy byłem na nim razem z żoną.

Á propos Żydów to wspominam ich, gdyśmy wielu ukrywali w piwnicach, a w krytycznym okresie dwoje żydowskich małych dzieci ukrywaliśmy w piwnicy w beczkach po kapuście z zamkniętym wieczkiem. Co się z nimi stało potem. Wszystkich nas z piwnicy rozproszyło bombardowanie, ale nasza rodzinka po nim się jakoś pozbierała.



Moje „warszawskie” dzieci.  
Zdjęcie wykonane na dzień przed  
wybuchem Powstania Warszawskiego

Dnia 24 kwietnia 1944 roku urodziła nam się córeczka, której nadano imię Danuta, bo takie samo imię miała siostra Stanisława Dygata i niejako w dowód pamięci po tych wyjątkowo dobrych ludziach, musiało to imię także i w naszej rodzinie mieć miejsce. Od tej chwili z dwójką małych dzieci życie nasze toczyło się w piwnicach. Pożywienia i wody było brak. Kiedy padł koń czy pies na

ulicy to było święto, bo zaraz ludzie zabierali się do rozbierania i kto mógł rozdrapywał padłe zwierzęta, aby zdobyć jakiekolwiek mięso.

Swoista „sielanka” mimo okupacyjnej grozy trwała niedługo. Wybuchło nagle Powstanie Warszawskie. Wraz z innymi kobietami w podziemiach szyliśmy powstańcom opaski białoczerwone, a młodszy nosili pocztę polową do wyznaczonych punktów. Planując w odwecie zrównanie Warszawy z ziemią, Niemcy postanowili wyludnić całą Warszawę. Los wypędzenia dotknął i nas. Znaleźliśmy się na Zieleniakach na Ochocie, który mieścił się u zbiegu ulic Grójeckiej i Banacha przy gazowni.

Na Zieleniak trafiliśmy wypędzeni przez Ukraińców nocą, bez odzieży i środków do życia. Moja żona zdążyła zabrać ze sobą ten

magiczny różaniec, a ja naturalnie medalik z Matką Boską. Dzieci zapakowaliśmy w kartony i gazety. Na Zieleniakach rozdzielano mężczyzn od kobiet i dzieci. Mężczyzn zabierali wprost do obozów koncentracyjnych lub na roboty do Niemiec. Nastolatków brano wraz z matkami do pracy w Niemczech. Tam więc dostała się między innymi matka chrzestna mojego syna – Regina wraz ze swoją matką. Wpadłem nagle na pomysł, aby się przebrać w strój kobiety i – mimo że miałem dość duży zarost – byłem chyba nawet podobny do kobiety. Wziąłem na ręce synka i ubrany w suknię udawałem matkę, a kiedy nas rozdzielali trafiłem na stronę kobiet niepoznany. Długie włosy opuściłem na twarz, aby mnie nie można było rozpoznać. Potem uratowane kobiety ze złością patrzyły na nas i były zazdrosne. Tak więc sukienka sprawiła, że ocalałem swoje życie.

Z wielką rzeszą kobiet i dzieci, pędzeni na Dworzec Zachodni w upale i bez picia pociągiem zawieziono nas do obozu przejściowego w Pruszkowie. Na jednym z przystanków na trasie zdarzył się kolejny „cud”. Oto z nasypu kolejowego z parowozu spadła pod nasze nogi poduszka wypchana puchem. Było to niezwykle zdarzenie. Ta poduszka pomogła dzieciom przetrwać zimne noce w obozie. W obozie w Pruszkowie spaliśmy w kuckach ze względu na brak miejsc na zaoliwionych betonowych posadzkach hal fabrycznych.

Życie w tym obozie było wyjątkowo trudne, warunki nie do zniesienia. Podłogi zaoliwione, betonowe nas nie dziwiły, bo to przecież hale fabryczne, ale ściany wilgotne, dach dziurawy, szyb w oknach brak, brak toalety, warunki nie do zniesienia sprawiały, że przebywanie było uciążliwe. Wody do picia też było brak, a z kałuży nie wolno było jej brać, bo groziło wybuchem epidemii i dlatego Niemcy strzelali do takich odważnych, którzy brali wodę z kałuży. Straże pilnowały więźniów, a pożywienie trzeba było podstępem zdobywać w różny sposób. Dla matek z małymi dziećmi na rękach wydawano wodę do picia i jakieś placki niewiadomego pochodzenia, które pieczono na gorącej blasze. Ludzie byli rozlokowani bezpośrednio w tych halach, siedząc na betonie i smarach. Całe szczęście, że akurat w tym okresie było lato, ale co się stanie z nami zimową porą? Każdy miał ograniczone miejsce, ponieważ ludzi było mrowie. Nie było komfortu spania z wyciągniętymi nogami.

Dokładnie pokazano ową tragedię pruszkowską w filmie „Zakazane piosenki”. Znowu przeżywałem na nowo te chwile grozy i wte-

dy postanowiłem podzielić się tymi wspomnieniami z moimi dziećmi, a żona spisała je i będą na pamiątkę. Głównie syn Konrad przejął się na tyle, że postanowił w przyszłości wspomnienia te opublikować.

W obozie tym spotkaliśmy niemal całą naszą „rodzinkę warszawską”. Nie było tylko tych, którzy stracili życie w różnych sytuacjach. Od pierwszych chwil wypędzenia przyłączyła się do nas obca osoba, której mąż był szczególnie aktywnym organizatorem Powstania Warszawskiego. Los jego nie był znany, ale nazwisko z pewnością było na niemieckim indeksie, więc jak mogła chronić się. Stała się dla nas pomocna w każdej chwili. Była naszym Aniołem Stróżem. Była to pomoc bezinteresowna i wielce tajemnicza. Nic o sobie nie mówiła. Na przemian braliśmy na ręce dzieci i w ten sposób zdobywaliśmy wodę do picia i pożywienie.

Mimo niechybnego zbliżania się końca wojny, Niemcy nie dawali za wygraną i nadal urządzali czystki i wywózki do obozów zagłady, szczególnie tych, którzy próbowali ucieczki, głównie nocami przez dach dziurawy i przez wybite okna.

Woda z deszczu, gromadzona w beczkach, mogła służyć nam do mycia, a tego Niemcy zabraniali. Przez cały czas pobytu w tym obozie często stosowałem tę wypróbowaną metodę maskowania „na sukienkę”. Dziwnym trafem prawie nigdy nie zostałem zdekonspirowany. Złość współwięźniarek była tym większa. Syn płakał szczególnie nocą, bo ciągle był głodny. Córka nie, bo chyba sił jej brakowało. Miała przecież kilka miesięcy. Więźniarki krzyczały: „udusić tego bękarta”, „szwabskie imię” itp. Chciały spać, a syn na moich piersiach wciąż płakał. Wołał niezrozumiale „kibi solą” to znaczy „chleba z cukrem”, bo na chlebek mówił „kibi”, a cukier to „sól”. Trudne chwile przeżywaaliśmy i niewygody. Nie było miejsca i możliwości utrzymania higieny osobistej. Z powodu braku miejsca byłem zmuszony spać na siedząco, trzymając leżącego syna na piersiach, a pieluchy suszyłem na plecach. Pieluchy wykonałem z mojej koszuli nocnej. Podarłem ją na kawałki i ledwo starczyło dla mojej córeczki, bo syn zaczynał już siusić samodzielnie, ale nie zawsze mu się to udawało.

Jak już wspominałem wcześniej, dziećmi posługiwaliśmy się w zdobywaniu pożywienia. Pewnego razu moja siostra Maria wzięła na ręce moją córeczkę i ustawiła się w kolejce po placki. Ze zmęczenia dziec-

ko osunęło się i rączkami dotknęło rozżarzonej blachy w wyniku czego oparzone zostały paluszki, a ślady zostały do dnia dzisiejszego.

Nie bez znaczenia w moim życiu odegrała modlitwa, szczególnie ta, którą nauczyli mnie moi rodzice. Te z dzieciństwa pamięta się do końca życia. Prosta modlitwa do Boga i Anioła Stróża była nieustannie na moich ustach, a szczególnie w najtrudniejszych chwilach w czasie okupacji, kiedy rozpocząłem samodzielne życie, a przede wszystkim w momencie mego wyjazdu do wojska. Jakby przeczuwając niebezpieczeństwo matka dała mi medalion z Matką Boską z niemieckim cytatem: „Matko Boska bez grzechu poczęta, módl się za nami, którzy się do Ciebie uciekamy”, mówiąc: „Zabierz synku ten medalik ze sobą, aby cię chronił od złego i od niebezpieczeństwa nagłej śmierci, a wsadź go sobie do lewej kieszonki, na serce, aby, gdy cię osiągnie kula wroga to Matuchna Boska z pewnością cię osłoni”. Wziąłem ten medalik do serca i na serce dosłownie. Chroniłem go od tej pory jak oka w głowie. Na szczęście nie przypominam sobie, abym dostał kulą złowrogą w serce, ale wielokrotnie zdawałem sobie sprawę, że ten kawałek metalu uchował mnie przy życiu.

Wreszcie zbliżył się jak się domyślaliśmy koniec wojny. Niemcy w popłochu uciekali, ale zostawili na miejscu swoich pomocników Ukraińców, którzy do końca wypełniali sumiennie swoje obowiązki. Na końcu i oni gdzieś uciekli, i nagle ktoś nam zaproponował transport do pobliskich miejscowości do chłopskich gospodarstw. Myśmy trafili do podłowickich wsi. Ja trafiłem do sołtysa niejakiego Maciaszczyka w Małszycach, natomiast żona trafiła do nieco dalej oddalonej wsi Niespuszy, do rodziny wielodzietnej, która też miała kłopoty, aby utrzymać swoją rodzinę.

Po kilku dniach nagle zachorowałem na zapalenie płuc. Żona zostawiła dzieci i po okolicy szukała nie tylko pożywienia, ale przede wszystkim lekarstw. Któregoś dnia ku naszemu zdziwieniu ktoś obcy dostarczył nam paczkę z odzieżą od mojego brata, który zaraz po wojnie zdobył pracę, wożąc koniem owoce i warzywa do Warszawy. Wśród różnorakich „ciuchów” była też spódnica w kolorze brązowym, wykonana z ludzkiego włosa. Kiedy żona moja dowiedziała się z jakiego materiału jest zrobiona, nigdy nie włożyła jej na siebie, nawet wtedy, gdy istniała taka potrzeba i panował mróz. Po wojnie wisiała w szafie i była pamiątką z tego okresu.

Kiedy odwiedził nas pewien Niemiec już po śmierci ojca, zaprzyjaźniony z naszą rodziną jeszcze z czasów Solidarności, pokazałem mu obóz w Auschwitz. Z trudem dał się namówić na tę wycieczkę. W jednej z gablotek nagle zobaczył dyspozycję wysyłkową włosów ludzkich z obozu z Auschwitz do jego rodzinnego Roth, gdzie była fabryka włókiennicza, stanął jak zamurowany i zaczął głośno płakać, a potem zrobił kilka ujęć swoim aparatem na pamiątkę tego pobytu. W tej fabryce pracowali jego rodzice, a ja mu wtedy wspomniałem, że w moim domu w szafie wisiała spódnica z tej fabryki. Nie mógł się opamiętać i długo był pod wrażeniem. Był to Niemiec urodzony 31 grudnia 1939, a więc kiedy wybuchła wojna miał zaledwie kilka miesięcy, ale i tak przejął się tym faktem.

W końcu przyszedł czas, kiedy pociągiem przedostaliśmy się do Łodzi. Była wtedy sroga zima i sypał śnieg dużymi płatami. Umieścili nas w odkrytych wagonach, a sypiący śnieg dokuczał nam niemiłosiernie. Ja świeżo po chorobie obawiałem się, że znów zaniemoję i nie dojadę do celu. Wreszcie dotarliśmy do Ostrowa Wielkopolskiego, a stąd już „rzut beretem” do Ostrzeszowa. Zaczęło się budowanie na nowo ogniska domowego, bo przy pomocy rodziny i znajomych można było coś zdziałać, aby przeżyć i się urządzić.



Ilekoć czytam te wspomnienia mojego ojca nie wierzę, że to ja właśnie jako małeństwo przeżyłem te trudne chwile. Jak bajka wydaje mi się to opowiadanie, a medalik z wytartym wizerunkiem Matki Boskiej i niemieckim napisem pozostał i leży w szkatulce. I te fotki pożółkłe, też mi pozostały, nieraz je oglądam i wspominam jego ciężkie przeżycia w okresie wojennym.

Ojciec, trapiiony chorobami w czasie wojny i po wojnie, niedługo po kilkunastu latach zmarł (13 czerwca 1962 r.) na ostrą białaczkę naczyń limfatycznych w Szpitalu w Kluczborku, a ja jedyny byłem przy jego śmierci. Na koniec ścisnął mnie w półprzytomności za moją rękę i wydusił ostatnie słowa: „z Bogiem”, „pamiętaj o mnie”, „bądź dzielny” i umarł.

Po rodzicach pozostał mi również inny „talizman Boży” – różaniec zniszczony wielokrotnie przez używanie i naprawiany, z którym Matka moja w całym swym życiu się nie rozstawała. Towarzyszył jej od Pierwszej Komunii Świętej i jako jedyna rzecz został w dłoniach podczas wypędzenia na Zieleniak i do obozu w Pruszkowie po Powstaniu Warszawskim, na którym gorąco się modliła o uchronienie od śmierci. Widzę ją często, przesuwając paciorki tego różańca po całodziennym krzątaniu w wieczornej żarliwej modlitwie. Chwile te zapadły głęboko w mój wnętrzu.

Talizmany Boże po rodzicach, leżące w szkatulce, opisałem kiedyś ku wiecznej dla rodziny pamiątce następująco:

#### „Różaniec w jej ręku”

Był ukojeniem w chwilach zwątpienia, dając spokój i roztropność w pokonywaniu codziennych trudności. Był z nią w Kępnie i Ostrzeszowie podczas Pierwszej Komunii Świętej, kiedy była jeszcze dzieckiem i panną, w czasie porodów w Warszawie, kiedy kule wroga świstały przez dziury w oknach i piwnic. Był z nią w czasie wygnania i w obozie, i w pociągu w czasie powrotu do domu, a potem był z nią, kiedy w Ostrzeszowie wychowywała z mozołem troje swych dzieci, by wyrosły na dobrych ludzi. Na tych dziwnych zdrowaśkach, zaklętych w różańcu modliła się do Boga. Nie opuszczała go, kiedy wnuki bawiła, a w czasie śmierci leżał przy niej, bo w nocy do Pana odeszła, bo o szczęśliwą śmierć się modliła.

„Medalik na szczęście”

Obok różańca świętego Mamy, ten oto medalik – z Matką Boską i solidnie wytartymi niemieckimi słowami na obwodzie – towarzyszył memu Ojcu – Stanisławowi przez cały okres gehenny okupacyjnej w Warszawie i obozach niemieckich i chronił go od śmierci, a przytwierdzony był na piersi po lewej stronie w butonierce marynarki po prostu bezpośrednio na sercu, aby je osłaniał. Wspominał mi, że dostał go od swej matki, kiedy udawał się do wojska, tam daleko na wschodnie kresy przed wojną. Modlił się, bo wyniósł pobożność z domu rodzinnego. W wielu sytuacjach pod płaszczem Niepokalanej chował się w wyjątkowo trudnych chwilach. Wielokrotnie ocierał się o śmierć i pośrednictwo tej Matki z Nieba ratowało go od śmierci, tak skutecznie, że ocalał jako jeden z niewielu z pożogi wojennej.

Niech te dwie pamiątki z tego okresu po moich rodzicach zachowają również następne pokolenia mojej rodziny.

Chcąc spłacić dług poświęcenia mojego ojca rodzinie i dzieciom, jego bohaterstwa i determinacji, ośmieliłem się opracować jak mogłem najlepiej niniejsze wspomnienia.

Konrad, syn Stanisława

RENATA SUCHODOLSKA

godło: „renifer”

wyróżnienie drukiem w kategorii  
prozy



*RENATA SUCHODOLSKA – lęborszanka z pochodzenia. Uzyskała dyplom z wiolonczeli i była członkiem zespołu jassowego Maestro Trytony. Otrzymała kilka nagród w konkursach literackich. Od 10 lat mieszka na Sardynii, gdzie jest przewodniczką turystyczną oraz jednym z założycieli polsko-sardyńskiego stowarzyszenia kulturalnego. Ma 42 lata.*

## KRYGIEL

Najpierw Krygiel stracił żonę. Zabrała ze sobą na drugi świat garb i niewyczerpany uśmiech. Jej laskę, zwykłą metalową z białym uchwytem, Krygiel zwrócił do wypożyczalni. „Już nie będzie potrzebna” – powiedział zgrzytając zębami. Zawsze kiedy coś mówił zgrzytał zębami. Jakby się złościł. Wykrzywił przy tym dolną wargę, odsłaniając żółknięte kikuty siekaczy. Pani Jola z wypożyczalni wzdrygnęła się z obrzydzenia. Żeby nie dać niczego po sobie poznać zanurzyła głowę w leżących przed nią na stoliku papierach. „Nazwisko?” – spytała. „Szczypiorska-Krygiel”. Zgrzyt. „Zmarła”. Pani Jola podniosła wzrok zaskoczona tym wyznaniem. Było przecież oczywiste, że zmarła. Sprzęt rehabilitacyjny wracał do wypożyczalni dopiero po śmierci użytkownika. „Tak...” – mruknęła. „Bardzo mi przykro” – uznała, że wypadało okazać współczucie, choć była tak przyzwyczajona do zrozpaczonych krewnych, że ich żaloba nie robiła na niej żadnego wrażenia. Krygiel stuknął kulą o ziemię. „Przykro – fuknął. – Wszystkim jest przykro. Na pochybel mi to wasze przykro. Stara się zwinęła, bo chciała mi zrobić na złość. Teraz będę musiał sam podcierać dupę gówniarzowi”. Wybuch Krygiela zmieszał panią Jolę. Nie była przyzwyczajona do wulgaryzmów. „Podcierać dupę?” – Powtórzyła w myślach i poczerwieniała z zawstydzenia. „Wyprasz...” – zaczęła, ale kiedy zobaczyła pęczniejącą gniewem twarz Krygiela pokręciła tylko głową z dezaprobatą i wróciła do papierów. Krygiel stuknął jeszcze raz kulą jakby podkreślając, że nie ma zamiaru ani się tłumaczyć, ani przeproszać. Z podbródkiem uniesionym w górę, lekko w prawą stronę, poczekał aż kobieta odnalazła właściwą fiszkę, nabazgrał w rogu coś, co miało być jego podpisem, spojrzał pytająco i otrzymawszy w odpowiedzi suche: „to wszystko”, odwrócił się i wyszedł. Pani Jola spojrzała na jego koślawe nogi w ortopedycznych butach. Obserwowała jak z wyraźnym wysiłkiem opierał przed sobą obie kule, robił krok lewą nogą,

a potem ciężko przenosił naprzód prawą, pomagając sobie podrzutem biodra. Nie odrywała wzroku od tego żalosego spektaklu, odnajdując w komicznych podrygach Krygiela cichą satysfakcję.

Tamten maj, kiedy zmarła Krygielowi żona, nie był ani odrobinę majowy. Padało i padało, a kiedy nie padało, zanosilo się na deszcz. Gdyby nie spieszące na wieczorne nabożeństwa białoweloniaste dziewczynki pod parasolami, w dłoniach koszyczki pełne kolorowych płatków kwiatów, można by pomyśleć, że z jakiegoś powodu konwale na klombach pospieszyły się i zakwitły w naburmuszonym marcu.

Kiedy Krygiel wyszedł z wypożyczalni, dziewczynki, rączki w dłoniach mamuś, właśnie zmierzały w stronę kościoła. Na białych sukienkach sweterki, szaliczki, poncza. Na ustach skromne uśmiechy. Pod nimi starannie ukrywany grymas wyższości. Sypanie kwiatków było wyróżnieniem, którego mogły dostąpić tylko najpilniejsze z nich. Wszystkie były tego świadome. Te, którym się udało z trudem trzymały na uwieży zaspokojną dumę, nawet jeśli ksiądz nakazywał skromność i jeszcze raz skromność. „Pamiętajcie, ten przymiot jest najmilszy Jezusowi” – przypominał. Wypełnianie przez cały rok „Zobowiązań Czystego Serca” nie było łatwe: comiesięczna spowiedź, cotygodniowe uczestnictwo we mszy świętej dla dzieci oraz stuprocentowa obecność na lekcjach religii udawały się tylko najwytrwalszym. Ksiądz przyjmował wyłącznie usprawiedliwienia lekarskie. Każde inne: wyjazdy do rodziny, wycieczki szkolne i tym podobne oznaczały utratę szansy. Ksiądz był bardzo surowy i absolutnie nieprzekupny. „Lepiej, jeśli jest surowy. Naucz się odpowiedzialności. W życiu nic nie przychodzi bez wyrzeczeń” – mówiły matki potakując z przekonaniem głowami.

Zwłaszcza matki wybranych dziewczynek.

Krygiel wyłonił się zza rogu akurat, kiedy dziewczynki w niewielkich grupkach przechodziły przez plac. Zaparkował na samym jego środku, na miejscu dla inwalidów i teraz, ciągle wzburzony, kuśtykał w stronę samochodu. Na skutek zdenerwowania jego podrygi były jeszcze bardziej nieskoordynowane. „Co za idiota to wymyślił – mruzczał do siebie – cały plac muszę przejść. Przeciskać się. Jakby nie można było z brzegu, blisko pasażu handlowego. Do niczego się nie nadają. To wszystko przez znajomości. Zatrudnią w urzędzie takiego

kuzyna czy szwagra, co pojęcia nie ma i się potem popisują, geniuszel”. Burczał coraz głośniejsz nie zauważając, że dziewczynki odwracały głowy, by mu się przyjrzeć. „Co jest temu panu?” – Pytały matek. – „Czemu ten pan mówi do siebie?”. „A czemu ten pan tak śmiesznie chodzi?”. „Cii, nie patrz się, ten pan jest chory” – odpowiadały matki szeptem i wydłużały krok. Dziewczynki zaczynały truchtać, najmniejsze, uczipione matczynych rąk, biegły, sukienki furkotały na wietrze, sprężyny jasnych, wystających spod wianków włosków falowały. Krygiel wystukiwał kulami kankana swojej złości, warczał, zęby mu zgrzytały aż echo szło. Na to zgrzytanie zagrzniały dzwony z wieży kościelnej, wiatr zaświstał, zagwizdał, zawinał ziąbem, deszcz się rozsierzdził, zadudnił tłustymi kroplami o asfalt, Krygiel zaklął całkiem już głośno, dopadł samochodu, kluczem w drżących ze zdenerwowania dłoniach ucelował w zamek, przekręcił, drzwi puściły, Krygiel wrzucił do środka auta kule, a za nimi siebie. Zatrzasnął drzwi i wszystko ucichło.

Tylko po szybach nieprzebrane deszczu strumienie.

Krygiel mieszkał na osiedlu. W mieście było tylko jedno osiedle: Robotników. Dlatego, że jedno nikt nie zawracał sobie głowy nazwą. Zbudowano je na miejscu baraków, prowizorycznych lokali dla pracowników kopalni skleconych na łapu capu z mieszaniny papy, błota i cementu, które rozrzucone swą tymczasowością przetrwały prawie czterdzieści lat. W barakach nie było kanalizacji ani bieżącej wody, nie wspominając o luksusie elektryczności. Ludzie wypróżniali się do wiader, a ich zawartość wylewali do rowu, który ciągnął się wzdłuż tyłu budynków. Dzieciaki biegały na bosaka za najlepszą zabawę mając strzelanie z procy do szczurów. Te szczury dla budowniczych osiedla były większą zgryzotą niż podmokły teren, na którym stały baraki. By je wytępić sprowadzono grupę specjalistów z samej Warszawy.

Krygiel urodził się i wychował w barakach. Ledwie nauczył się chodzić, dołączył do bandy szczurobójców. Rozbryzgując błoto bosymi stopami gonił szczury z zapalem godnym konkwistadorów, dopóki pewnego wyjątkowo upalnego lata nie dopadła go gorączka. Miał wtedy dziesięć lat. Przeleżał kilka tygodni w łóżku. Kiedy wreszcie wstał, upadł. „Nogi mu zwiotczały – stwierdziła sąsiadka, która w barakach była niekwestionowaną wyrocznią w sprawach zdrowia. – Trzeba mu w wodzie zimnej moczyć, to się wzmocnią”.

Moczenie odbywało się dwa razy dziennie: rano i wieczorem. Krygiel wzbraniał się jak mógł, bardziej przed poniżeniem, niż przed znośną torturą: rzucał się i gryzł, wywijał jak węgorz. Lecz sąsiadka była silna – brała go pod pachy, wywlekała z łóżka i niepomna ugryzień sadzała na krześle. Siadała na nim okrakiem, twarzą w twarz, dłonie jak kleszcze na jego ramionach. Na to matka podsuwała michę z wodą, chwyciła bezwładne stopy syna i delikatnie wkładała je do kąpieli. Krygiel jęczał i płakał. Matka odwracała się ocierając ukradkiem łzy. Ojciec spluwał i wychodził. „Nic z niego nie będzie – mrucał. – Charłak jeden”.

Trzy tygodnie i w barakach rozeszło się o cudzie. Krygiel chodził! Chromał jeszcze, zataczał się, utykał, ale chodził. Matka żegnała się, padała na kolana, całowała święty krzyż i dłonie sąsiadki. Tylko ojciec Krygiela nie dawał wiary: „Szwankuje chłopak”. I jak litanię powtarzał: „Nic z niego nie będzie”.

Minęło kilka miesięcy i Krygielowi zaczął wyrastać garb. Gdy się zorientował, pod prześcieradło włożył deski, ale to tylko przysporzyło mu siniaków. Chodząc prostował się jak mógł, ale mógł coraz mniej. Nie dość, że kuśtyk, to i garbus. Kpiny kolegów z podwórka bolały bardziej niż świadomość kalectwa.

Tak więc im na przekór, wystrugawszy sobie nową procę, wrócił do polowania na szczury. Zmuszony swoim niedołęstwem zmienił taktykę. Brał z kuchni drewniany stół, stawiał go gdzieś na uboczu, z dala od wrzeszczącej hałastry, siadał i czekał. Obserwował. Wkrótce poznał zwyczaje szczurów. One, jakby drwiąc sobie z niedołęgi, paradowały mu przed samym nosem. Krygiel przez dobrych kilka dni ani drgnął. Jak zamurowany. Szczury bezczelnie podchodziły coraz bliżej. Gdy wreszcie myśliwy uderzył, osłupiały. Struchlały niedowiarki wobec hucpy Krygiela. On strzelał spokojnie. Obalił pięć. Ogłuszone zebrał do worka. Łup rzucił kolegom pod nogi jak rękawicę. „Amatorzy” – wycedził, splunął ojcowskim zwyczajem i odszedł drepzcząc niezgrabnie jak kaczor.

Procę wrzucił w rów z odchodami. Z nią w gównianej kąpieli wyładowało jego dzieciństwo. Nie mógł ciałem, będzie duchem silny. Hałastra niech świętuje. Zobaczymy jeszcze kto wygra!

„Panie Mieczysławie, pan wyśle syna do szkoły” – nauczycielka stała w sieni i oganiając się od much starała się dojrzeć twarz ojca Krygiela. Ten siedział przy stole. Ani mru, mru. Matka z dłońmi splecionymi i spuszczoną głową milcząco w kąciku. Krygiel podsłuchiwał pod otwartym oknem. Trzeci raz prosiła. Z żalu dla kaleki. Nie dla sympatii, bo tej Krygielowi nie stało. Dla żalości. „Przecież on do kopalni się nie nada. A głowę na karku ma. Może nawet inżynierem będzie, dyrektorem...” – przekonywała. Wreszcie na tego dyrektora spod westchnień mężczyzny zadudniło stanowcze: „Nic z niego nie będzie. Nic”. „Będzie – nauczycielka się zapaliła. – Zobacz pan, że będzie. A o koszty niech się pan nie martwi, bo on stypendium ma. Internat też za darmo, jeść mu dadzą i wszystko. Tylko zgodę musi pan podpisać. O tutaj”.

Matka Krygiela załkała. To już jej całkiem syna ubędzie.

Nareszcie i deszcz ustał. Krygiel przekreślił kluczyk w stacyjce, samochód zakrztusił się i odpalił. Wiatr rozegnał chmurzyska. Wylazł spod nich karmin zachodniego nieba. Na nim pomarańcza słońca. Powietrze śliczne, nowiusieńkie. Auto Krygiela przejeżdżając rozbryzgiwało zachód w kałużach. Jego strzępy spadały przechodniom pod nogi.

Złość Krygielowi nie przeszła. Miętosił ją jęzorem w gulaszu słów, którymi sam przed sobą psioczył na los. A im bardziej zbliżał się do domu, tym bardziej się rozsierdzał. Zwłaszcza żonie nie mógł darować, że odeszła bez przestrogi. Jedyna osoba na świecie, której ufał.

Poznali się wkrótce po tym, gdy zaczął pracować w spółdzielni inwalidów. Na zabawie choinkowej.

Nie poszedłby wcale, gdyby nie obietnica paczek. Ostrzył sobie zęby na tę czekoladę i cytrusy, lecz okazało się, że opacznie zrozumiał ogłoszenie: paczki były wyłącznie dla dzieci. Zezłił się. Niewiele brakowało, a wyszedłby na głupca. Tego by nie zniósł. Już i tak ludzie od niego stronili. Mielibyż go i wyśmiewać? Wiedział: sympatią nie grzeszył, ale nie miał zamiaru nikomu się przymilać. Wolał osamotnienie. Od kiedy zachorował był wyrzutkiem. Garbaty kuśtyk. Kaleka. Ludzie się za nim oglądali jak za dziwem, lecz nikt nie miał odwagi się zbliżyć jakby był trędowaty, a nie kulawy. Kto nie mógł go ominąć, przechodził na wyciągnięcie ręki, byle nie dotknąć, byle się nie zarazić. Kto

musiał z nim rozmawiać, patrzył po niebie albo na boki, nigdy w oczy. Jakby i wzrok jego roznosił bakcyl inwalidztwa. Dopiero w spółdzielni poczuł się wśród swoich. Tu każdy miał jakąś ułomność, więc nikt się nikomu nie dziwił. Nareszcie był normalny. Jak cała reszta. Przeżycie normalności było niezwykle, ekscytowało go i wzruszało, wprawiało w stan uniesienia. Lecz im normalniej czuł się w spółdzielni, tym bardziej dramatyczny stawał się powrót do świata. Ledwie wychodził za bramę, własna odmienność uderzała go jak obuch. Euforia rozpryskiwała się jak kryształ, a jej miejsce zajmowało udręczenie. Nim Krygiel dochodził do domu był złamany. Na dzień dobry sąsiadów ledwie odmrukiwał. Szybko przestano go pozdrawiać, a i on się nie kwapił. Zamykał za sobą szczelnie drzwi i nie wyściubiał nosa aż do następnego dnia rano.

Marysia to zmieniała. Marysia przywróciła mu radość życia. Miała to wszystko, czego jemu brakowało: pewność siebie, optymizm, dobry humor, umiejętność przekuwania najczarniejszych sytuacji w nieoczekiwane możliwości, ufność, wiarę w uzdrawiającą moc uśmiechu. Istniały bezkresne pokłady pogody ducha w tym drobnym powykręcanym chorobą ciele. W spółdzielni znał ją każdy.

Na zabawie choinkowej rozczłoszony Krygiel po nieporozumieniu z paczkami siadł pod ścianą. Postanowił skorzystać z poczęstunku, zapowiedzianego na później, a potem pójść do domu. Nie interesowały go konkursy, gry i zabawy, które uważał za idiotyczną, dziecianną stratę czasu. Nie miał najmniejszego zamiaru pajacować ku uciesze gawiedzi. Siedział naburmuszony szyderczo szczerząc zęby na widok inaczej poważnych osób, które z zawiązanymi na plecach rękami próbowały gryźć zawieszone na nitkach jabłka. Pospółstwo miało uciechę, bo uczestnicy, by dotrzeć do wiszących na poziomie brzucha jabłek, musieli się wypinać. Przykucanie było zabronione. Zwycięzcą został niejaki Zdzisiu, który unicestwił jabłko dwoma potężnymi chapsami. Natychmiast ustawił się wokół niego wianuszek dziewcząt, najwyraźniej adoratek. Chichocząc rzuciły się do obcmokiwania zażenowanego Zdzisia. Gawieź skamlala z ubawu. Krygiel wykrzywił się z niesmakiem.

Następna konkurencja przewidywała udział par. Brakowało jednej do kompletu. Wodzirej zachęcał. Ludzie żartując wypychali się nawzajem i wtedy, w zamieszaniu, ktoś podszedł do Krygiela, wziął go za

rękę i pociągnął za sobą. Nim się zorientował stał na środku parkietu naprzeciw filigranowej dziewczyny. Brakująca para. Trzymała jego dłoń i rozbawiona patrzyła mu w oczy.

Niewiele pamiętał z zabawy, zbyt oszołomiony sytuacją. Musieli tańczyć, ściskając między sobą balonik. Komu balonik wypadł, odpadał z gry. Zdaje się, że byli przedostatni, ale nie przysięgliby. Po prostu po nieokreślonym czasie odnalazł się znów na krześle pod ścianą. A na sąsiednim ona. „Marysia – powiedziała lekko zadyszana – uff, to było śmieszne”. Krygiel uśmiechnął się głupio. Nie zgadzał się, ale nie chciał zranić dziewczyny. Mimo przesadnej, jak na jego gust, niefrasobliwości, wydawała mu się sympatyczna. „Czy pan się nigdy nie uśmiecha?” – była bezceremonialna. „Nigdy” – odpowiedziała samej sobie. „Ma pan zmarszczki złości wokół ust. Oj, niedobrze. Inwalida ciałem powinien nadrabiać duchem. To jego jedyna broń”. Krygiel chrząknął, starając się zamaskować skrępowanie. Dawno temu przestał wierzyć w moc ducha. Ludzkie okrucieństwo było silniejsze. Przynajmniej od jego ducha. Od jego marzeń. Wszystko do czego doszedł to stanowisko księgowego. Było ono dla Krygiela dotkliwym fiaskiem. Od chwili, w której nauczycielka wspomniała o możliwości zostania dyrektorem, Krygiel pielęgnował w umyśle tę ponętną wizję. Wyobrażał sobie siebie na zebraniu komitetu zakładowego, rozpartego w skórzanym fotelu na szczycie długiego stołu, wokół którego jego onieśmieleni pracownicy z uwagą notują na kartkach każde jego słowo. Albo zebranie zakładowe. Ogromna sala, z przodu katedra, na niej mównica i kilka krzeseł dla dyrektwu. Zaczynają się schodzić robotnicy, sala pęcznieje buczeniem przytłumionych rozmów, on w swoim gabinecie załatwia przez telefon ostatnie nie cierpiące zwłoki sprawy, przybiega jego asystent – „Panie Dyrektorze już czas”. „Tak, tak, już idę” – daje znać kiwnięciem ręki, marszcząc brwi na coś, co usłyszał w telefonie. Kończy rozmowę, otrzepuje garnitur, przygląda włosy...

„Nie wierzy pan...”.

... bierze kule... Przekłete! Oto dlaczego skończył jako księgowy.

„Nie wierzy pan” – powtórzyła głośniejszym głosem Marysia.

„Nie. Byłbym zupełnie kim innym, gdyby nie moje kalectwo”. „Ja też – zgodziła się. – Myślę, że byłabym jedną z tych głupiotek, frywolnych dziewcząt, które myślą tylko o tym, kogo poderwać na potańcówce. A tak? A tak jestem sobą. Nie pędzę za stadem. Nie muszę

się nikomu przypodobać. Wiem, co jest ważne, a co nie. Nauczyłam się doceniać każdą chwilę życia. Nauczyłam się zaglądać za pozory i znajdować tam piękno, o którym nigdy bym nie myślała, że istnieje”. „No to gratuluje” – odparł Krygiel z przekąsem, ale dziewczyna nie wzięła sobie tego do serca. „Dziękuję” – uśmiechnęła się żartobliwie i poprawiła kosmyk opadających włosów. Krygiel dojrzał jej gest ukradkiem. Zawstydził się przed samym sobą rozczulenia jakie w nim wzbudził. „Za moje pozory też może pani zajrzeć?”. „Oczywiście. Ale potrzebuję więcej czasu. Nie jestem wróżką. Nie potrafię czytać w myślach”. Krygiel nie odpowiedział. Patrzył na Marysię. Nie był tego pewien. „Chce pan spróbować?”. „Czego?”. „Mojej magii”. „Magii?”. „Tak, magii obnażania duszy”. „Obawiam się, że mogłoby nie być najmilsze to, co pani w niej znajdzie”. „A ja się założę, że wręcz przeciwnie – Marysia przekrzywiła głowę figlarnie. – Zróbmy tak: jeśli znajdę choć krztę czegoś, co można by określić mianem piękne zaprosi mnie pan na lody”. Krygiel wzruszył ramionami. „A jeśli wręcz przeciwnie?”. „Ja zaproszę pana”.

Krygiel zaparkował pod blokiem. Miał swoje prywatne miejsce. „Dla inwalidy” – głosił żółty napis na asfalcie. Za każdym razem, gdy parkował miał nadzieję, że znajdzie miejsce zajęte, wówczas mógłby zaparkować na nieznakowanym, tym dla normalnych, lecz to się nigdy nie zdarzyło: on był w bloku jedynym niepełnosprawnym i wszyscy mieszkańcy szanowali jego prawo do przywileju.

Nim otworzył drzwi auta rozejrzał się, czy w pobliżu nie było nikogo. Nie znosił tych wścibskich spojrzeń. A najgorsze, że niektórzy wielkodusznie, w ich mniemaniu, rzucali się w sukurs: przytrzymywali kule, podawali rękę, by się na niej wsparł, otwierali drzwi. Gdy odmawiał, brali to za przejaw jego nieśmiałości i obstawali przy nieudacznych wysiłkach pomocy. Wówczas robił się niemiły, niemal opryskliwy. Większość odchodziła urażona, inni pukali się w głowę, ale jego to ni ziębiło, ni grzało. Przyzwyczaił się do opinii grubianina.

W oknach mieszkania Krygiela dopalały się resztki zachodu. Przystanął. To jest (był!) pokój Marysi. Jej „ogród”. Wypełniał go ogromny figus, rododendrony, kilka papirusów, niezliczone kaktusy. Na środku królowała okazała palma. Pod nią dwa wiklinowe fotele i stolik. „Myślisz, że nasza Jamajka jest gorsza od tej prawdziwej?” – Mówiła Mary-

sia, gdy zasiadali w fotelach na popołudniową kawę. „Tam nie możesz nosa wyściubić za teren hotelu. Zbyt niebezpiecznie. Napady. Z bronią w rękę! Jedziesz na egzotyczne wakacje, a trafiasz do więzienia. Dookoła mury z zasiekami, przy wejściu uzbrojeni strażnicy. Dostajesz trzy posiłki dziennie, wieczorami dyskoteki albo pokazy folklorystyczne, w ciągu dnia wylegujesz się na basenie, smażyś jak befszytk. Potem dumnie opowiadasz, że byłeś na Arubie albo na Trynidadzie, choć po prawdzie, to nie widziałeś nic poza twoim komfortowym więzieniem. Tego mam pożądać? Wolę moją fantastyczną Jamajkę, wolę podróżować bez granic w wyobraźni. A zresztą – śmiała się – my to nawet morze mamy. Co prawda na tapecie, lecz przynajmniej nie ryzykujemy sztormu”.

Krygiela rozbrajała jej umiejętność dostrzegania dobrych stron w każdej sytuacji. Wiedział, że przecież udawanie pozostanie udawaniem nawet przy najbujniejszej wyobraźni, lecz argumenty Marysi miały nieodparty urok dziecięcej naiwności. Sam nie miałby nic przeciwko podróży na Karaiby, nawet jeśli oznaczałoby to zapuszkowanie pod palącym słońcem tropików bez możliwości ucieczki. Choć raz w życiu chciałby poczuć się krezusem, którego największym zmartwieniem jest nieodpowiednia temperatura drinka. Wiedział, że to, jak inne jego marzenia, nie miało się nigdy ziścić. A teraz śmierć Marysi unicestwiła nawet ich utopijną Jamajkę, ich intymny, sekretny, wymyślony eden. Jedyne luksusy, na który sobie pozwolili. Krygiel czuł się jak przepędzony z raj. Bezpowrotnie wygnany.

W oknie Marysi zafalowały firanki. Krygiel zmarszczył czoło. Pewnikiem Tosiek, niepomny zakazu znowu podglądał uliczne życie. Gdy spostrzegł nadchodzącego ojca umknął cichaczem. Znajdzie go w jego pokoju z książką udającego, że czyta. Tym razem mu nie podaruje. Tydzień zakazu oglądania telewizji. I do łóżka o siódmej.

Zdenerwowany Krygiel wstępował na schody, podrzucając biodrami to jedną nogę, to drugą. Ze względu na swoją niepełnosprawność otrzymał od spółdzielni mieszkanie na parterze, a i tak te osiem schodów było dla niego drogą przez mękę. Gdy zziąjany dotarł na piętro, twarz zraszały mu krople potu. Otarł się rękawem, przekręcił klucz i pchnął drzwi. „Tosiek!” – krzyknął. Ostatnio nie było niczego, co irytowało go bardziej, niż nieposłuszeństwo syna. Lecz gdy przekroczył próg pokoju słowa reprimendy uwięzły mu w gardle. W całym po-

koju rozchodził się obrzydliwy smród. Nie do pomylenia. „Tato, nie wytrzymałem – wyszeptał Tosiek. – Staralem się, ale już nie mogłem. Podjechałem do okna, żeby zobaczyć, czy już jedziesz. Nie gniewaj się tato, proszę cię, nie gniewaj się”. Ostatnie słowa utonęły we łzach. Krygiel niemal przysiadł. Nie wiedział, czy ze względu na odurzający smród czy na widok tego, co zobaczył w oczach syna. Po raz pierwszy w życiu oczy Tośka były przepełnione strachem. I to on był jego powodem. Dokuśtykał do fotela i usiadł. Trwał w milczeniu kilka chwil, nim wreszcie wydusił: „czego się boisz?”. Tosiek spojrzał na ojca zza zsuniętych do połowy nosa okularów. Krygiel wstał. W oczach chłopaka wezbrał terror. „Ja ci tylko poprawię – uspokoił go Krygiel – okulary ci poprawię. Nie bój się” – pogłaskał syna po głowie i wrócił na fotel. „Ty się mnie boisz. Jestem potworem. Od czasu, kiedy zmarła twoja matka nie potrafię sobie poradzić ze sobą. I z tobą. Wyobraź sobie, że dzisiaj w wypożyczalni, wiesz, poszedłem oddać mamy kule, powiedziałem tej kobiecie... zachowałem się po chamsku, wiesz... nazwałem cię gówniarzem... powiedziałem jej, że mama umarła specjalnie, żebym teraz ja ci...” – Krygiel spojrzał na zatrwożonego syna. Teraz miał tylko jego. Czy naprawdę chciał, by właśnie Tosiek płacił za jego rozgoryczenie?

Pamiętał doskonale dzień, w którym się urodził. Jaki był drobny, jak cichutko płakał. Lekarz powiedział, że był zdrowy, najzdrowszy na świecie. Że przy wczesnej cesarce to normalne, jeśli dziecko rodzi się takie małe. Nie mogli czekać dłużej ze względu na chorobę Marysi. Czekanie do końca ciąży podwyższyłoby niebezpiecznie ryzyko zejścia położnicy. Tak się wyraził. Początkowo Krygiel nie rozumiał o jakie zejście chodziło. Gdy dotarło do niego, że Marysia wydając dziecko na świat mogła umrzeć, znienawidził nienarodzonego potomka. Zaczął żałować, że dał się namówić. Dwoje kalekich. Nie powinni mieć dzieci. Nie mieli prawa wydawać na świat kolejnego nieszczęśnika. A potem ta wspaniała wieść: dziecko było zdrowe. Jego żona przeżyła. I znowu Krygiel uwierzył w magię swojej ukochanej. „Trzeba tylko bardzo chcieć. I być wdzięcznym”.

Po cesarce Marysia była wycieńczona, ale szczęśliwa. On był szczęśliwy i zdezorientowany. „Po prostu pójść do niego i go głaszcz. Nic nie musisz mówić. On zrozumie, że go kochasz. Że go pokochasz” – poprawiła się. Chwycił się jej słów jak drogowskazu. Nie wiedział, jak i kiedy pokochał to chucherko. Bezgranicznie.

Kiedy poszli z rocznym Tosiem na bilans, pediatra jakoś długo oglądał małego. Zaniepokoił się. „Niech się państwo nie martwią – powiedział na koniec – chłopiec jest tylko odrobinę leniwy. To się zdarza. Zobaczycie, że wkrótce zacznie biegać, brykać. Nie nadążycie za nim”. Lecz w ciągu następnych kilku miesięcy okazało się, że przekleństwo nie ominęło ich synka: dystrofia mięśniowa. „Trudno powiedzieć ile pożyje – lekarz nie silił się na oględność – zależy od szybkości rozwoju choroby. Może pięć lat, może dziesięć. Jeśli będzie miał szczęście dożyje do trzydziestki. Znam takie przypadki”. Odebrało im mowę.

„Państwo wiedzą, że to choroba dziedziczna?” – Zapytał lekarz na odchodne, obdarzając ich wymownym spojrzeniem.

„Chodź, umyję cię i zmienimy pieluchę. Wybacz mi Tosieńku. Obiecuję...”. „Nie – wtrącił chłopak – lepiej nie obiecywać. Mama zawsze mówiła, że obietnicami jest piekło wybrukowane”. „Więc nie obiecuję, ale się postaram. Wiesz, jest mi strasznie trudno samemu”. – Krygiel podniósł się z fotela. „Masz przecież mnie. Nie jesteś sam”. „Miałem na myśli bez mamy. Jedziemy do łazienki”. Wskazujący palec Tośka leżał na czerwonym przycisku „start”, lecz wózek inwalidzki na którym siedział ani drgnął. „Jestem dla ciebie ciężarem, prawda?”. „Co ty opowiadasz?! – Oburzył się Krygiel. – Nie jesteś, nie byłeś i nigdy nie będziesz dla mnie ciężarem”. „To nieprawda – upierał się Tosiek – gdybym był na twoim miejscu...”. „Ale nie jesteś”. „Obserwuję cię. Widzę”. „Co widzisz?”. „Że masz już dość. Masz powyżej uszu karmienia mnie, zmieniania pieluch, mycia, ubierania i tak dalej”. „Przejęciowe zmęczenie. Śmierć mamy wyprowadziła mnie z równowagi. Potrzebuję czasu. Oboje potrzebujemy czasu. Nauczmy się żyć bez niej, choć teraz wydaje nam się to niemożliwe”. „Nic nie będzie już takie samo bez mamy” – głos Tośka się załamał. „Wiem” – Krygiel wziął jego dłoń w swoje. „Będzie... inne. Kiedy umiera ukochana osoba nasze życie zapada w czarną otchłań, z której, tak nam się wydaje, nie ma powrotu, lecz na dnie tej otchłani jest trampolina, od niej możemy się odbić i wrócić na powierzchnię”. „Jaka trampolina?”. „Pamięć. Mama będzie na zawsze żywa w naszych wspomnieniach, będzie zawsze miała swoje miejsce w naszych sercach, tego nie zmieni nikt na świecie. Nikt nam jej stamtąd nie zabierze”. Tosiek siedział nieruchomo.

Głowa przekrzywiona w jedną stronę opadała mu na nienormalnie wybrzuszoną klatkę piersiową. Nogi chłopaka były przywiązane skórzanymi paskami. Chude. Jak patyki. Na stopach bambosze. Również jego przedramiona były przywiązane. Spoczywały bezwładnie na oparciach wózka. Tylko wskazujący palec prawej dłoni drżał nieznacznie na przycisku. „Jedźmy już – odezwał się Tosiek, drżący palec wcisnął guzik. – Bo znowu będę miał dupsko odparzone”.

„Śmieszne to twoje zgrzytanie” – Marysia lizała lody beztrzesko. Równie beztrzesko zabrzmiała jej uwaga. Mimochodem. Ot i cały komentarz do dyskursu Krygiela. Ów w osłupieniu zapomniał się zeźlić. Łód mu tylko skapnął na spodnie. „Oj, niezdaro. Daj wytrzymy” – i nim się Krygiel zorientował, zobaczył na swoim kolanie dłoń Marysi, która troskliwie strzepywała lepkie krople. „Wody by trzeba. Plamę mieć będziesz. Pójdę poprosić”. „Nie” – odparował Krygiel niemal w panice. „Nie, nieważne” – powiedział już spokojniej. „W domu upiorę” – dodał jakby dla usprawiedliwienia i dłoń Marysi przycisnął swoją. „Niech tak zostanie” – wydusił zmieszany własną śmiałością. A gdy Marysia dłoni nie cofnęła bardziej jeszcze się ośmielił: „Masz taką ciepłą rękę, że żal”. „Żal?”. „Szkoda by stracić choć chwilę tego dotyku. Czuję go... Czuję go w sercu, tu w środku, głęboko. Jakiż ja głupi jestem tak cię moim życiorysem zamęczać, gdy wystarczy...”. „Co wystarczy?” – Marysia ścisnęła nieznacznie kolano Krygiela. „Wystarczy... być”. „Więc bądźmy” – głos dziewczyny ożył uniesieniem. „Bądźmy! – powtórzyła zniecierpliwiona. – To już pół roku, a ty...”. Krygiel miał odpowiedzieć zebrał w sobie odwagę, uniósł dłoń Marysi i przytulił się do niej policzkiem jak do ratunku.

W spółdzielni wieść o ich ślubie wprawiła w ruch maszynę plotek. Najbardziej sympatyczna dziewczyna z największym gburem: lokalna wersja baśni o pięknej i bestii przez długi czas bawiła współpracowników Marysi i Krygiela. Podczas uroczystości kościół był wypchany jak na Pasterce. Nikt nie chciał odmówić sobie tej niecodziennej rozrywki. Ksiądz z wysokości swego siedziska patrzył na to niezwykajne zbiorowisko kalekich, a w jego uszach pobrzmiwały słowa czytania wybranego przez nowożeńców: „Kiedy urządzasz przyjęcie, zaproś ubogich, ułomnych, chromych i niewidomych. A będziesz szczęśliwy, ponieważ nie mają czym tobie się odwdziżyć; odpłatę bowiem

otrzymasz przy zmartwychwstaniu sprawiedliwych”. Po raz pierwszy w życiu doświadczał dosłowności Jezusowej przypowieści.

„Tato, myślałem o tym wszystkim – zaczął Tosiek kilka tygodni później. – Najlepszym rozwiązaniem będzie wziąć kogoś do pomocy”. „Do pomocy?”. „Tak, kogoś, kto ugotuje, posprząta, zajmie się mną. Ty wracasz z pracy zmęczony i nie możesz mieć całego domu na głowie. Masz prawo do odpoczynku. A ja mam dosyć przesiadywania samemu”. „A Misia?”. „Misia jest nieoceniona, ale to tylko kot”. „A pani Irena?”. „Pani Irena przychodzi trzy razy w tygodniu. Tłumaczy mi lekcje, a potem sobie idzie. Nie ma czasu na pogawędki. Ja potrzebuję kogoś, kto ze mną porozmawia”. „I chciałbym pójść czasami na spacer – dodał Tosiek przyciszonym głosem. – Nie byłem na dworze od czterech miesięcy, od kiedy był u nas wujek...”. Krygiel spojrzał na syna z rozrzewnieniem. Czternastoletni chłopak powinien mieć przyjaciół, powinien grać w piłkę, jeździć na rowerze, podrywać pierwsze dziewczyny. Jego syn był więźniem własnego ciała, które z jakiegoś powodu odmówiło współpracy. Więzić go dodatkowo w domu było okrucieństwem. Tosiek znał świat z książek i telewizji. Był wiele razy na miejskim deptaku, ale nigdy w lesie, nigdy nad morzem, w górach. Nawet krowy na łące nie widział, nie poczuł zapachu pola po deszczu, woni skoszonej świeżo trawy, południowego wiatru. „Nie będzie nas dużo kosztować – odezwał się Tosiek. – Zadzwoń do opieki i zapytałem”. „Zadzwoń? Jak?”. „Pani Irena wykręciła numer i trzymała słuchawkę. Powiedzieli, że jest specjalny fundusz. Dostalibyśmy zwrot kosztów”. „Tak?” – Krygiel nie miał ochoty na kogoś obcego w domu, to byłoby jakby zastąpić Marysię. Ona od zawsze zajmowała się Tosiem. Robiła to z taką pogodą ducha, że list który znalazł tego tragicznego dnia wydawał mu się okrutnym żartem. Nie wierzył, żeby Marysia była jego autorką. Lecz raport policyjny był jednoznaczny: „wszystkie okoliczności oraz wyniki testów wskazują na niewątpliwą czyn...”. „Tato, wiem, że nikt nie zastąpi mamy, ale minęły już trzy miesiące. Trzeba... trzeba się zorganizować”. „Dobrze. Jeśli tego chcesz. Popytam w pracy”.

Bożenka miała osiemnaście lat, była nieobyta, małomówna i bardzo pracowita. Opieka nad Tosiem była jej pierwszą okazją wyrwania

się z rodzinnej wioski. Zgodziła się na marną płacę i ledwie jedno popołudnie wolne w tygodniu. Nie zrażała ją perspektywa codziennych nieprzyjemnych obowiązków i całkowity brak życia prywatnego. Nigdy go zresztą nie miała. Całe dnie wypełniała jej praca w polu lub w obejściu. A gdy tego nie stało, było zawsze coś do roboty w domu. Pięcioro młodszego rodzeństwa i zniedołężniała babka nie zostawiali wolnej chwili. Jej ojciec nie chciał słyszeć o, jak to określał, służbie Bożenki, lecz uległ namowom siostry, tej, która pracowała w spółdzielni i podchwyciła apel Krygiela.

Tosiowi Bożenka spodobała się od pierwszego dnia. Była ledwie kilka lat starsza od niego. Mogła uchodzić za jego rówieśniczkę, lecz jednocześnie wcielać się w rolę matki. Nie dziwiła się kalektwu Tosia, ale też nie traktowała go jak opóźnionego w rozwoju. Była prostolinijna i dyskretna. Najważniejsze, że mógł z nią rozmawiać ile pragnął. Choć właściwiej byłoby nazwać te rozmowy monologami, bowiem Bożenka rzadko się odzywała. Słuchając jego wywodów wpatrywała się w Tosia uważnie, cała skupiona, jak dziecko podczas pierwszych lekcji w szkole. Tosiek wreszcie poczuł się kimś ważnym. Jego przemyślenia odbite w lustrze naiwności i prostoty dziewczyny skrzyły mądrością.

Krygiel Bożenkę traktował oschle, nieprzejednanie. Nigdy cień uśmiechu. Nigdy dobre słowo. Boczył się na nią za samą jej obecność, za sposób w jaki przywłaszczyła sobie Tosia. Irytowało go też coraz lepsze samopoczucie syna, jego dobry humor. W głębi duszy obraził się na niego za tę niewierność Marysi, za to jak szybko o niej zapomniał, jak łatwo dał się ponieść życiu. Znowu zrobił się mrukliwy i nieprzystępny. Wraz ze śmiercią żony ulotniła się cała magia, która wcześniej przeistoczyła Krygiela.

I właśnie wtedy, gdy naburmuszenie Krygiela rozděło się tak, że zaczęło go dusić, Tosiu złapał zapalenie płuc. W jednej chwili balon zaciętrzewienia pękł. W ustach został Krygielowi gorzki smak nieadekwatności. Poczul się kompletnym idiotą. Siedział w szpitalu przy łóżku Tosia i modlił się o jego wyzdrowienie. Trzymając rękę syna patrzył za okno, gdzie nagie drzewa straszyły kikutami gałęzi. Gwałtowny listopadowy wiatr tarmosił gawronami. Ich przeraźliwe skrzeki odbijały się od mokrych szyb. Każdego ranka lekarze w białych kitlach pojawiali się w milczącym korowodzie, jak nieprzyjazne

duchy, trzymali za puls, osłuchiwali, opukiwali, stawali w nogach łóżka i, mrużąc oczy, studiowali kartę Tosia, po czym wydawszy półgłosem jakieś polecenia pielęgniarkom nieodmiennie kiwali głowami w stronę Krygiela ni to dla pocieszenia, ni z bezsilności i wychodzili z sali.

Najpierw Krygiel stracił żonę. Kilka miesięcy później, w pewne dżdżyste listopadowe popołudnie również syna. Tuż przed śmiercią Tosiu westchnął: „Mama”. Potem, jakby ukojony, zamknął oczy i przestał oddychać. Krygiel wpatrywał się w spokojną twarz syna i jedynym uczuciem, które potrafił zdefiniować była zazdrość o to „mama”. Chętnie zamieniłby się z Tosiem, byleby choć przez moment móc zobaczyć Marysię.

Na pogrzebie było dosłownie kilka osób: pani Irena, Bożenka, jej ciotka, ksiądz i grabarze. Krygiel nie powiedział nikomu o śmierci Tosia, nie rozwiesił nekrologów, nie wziął nawet wolnego w pracy. Udał, że musi pójść do banku. Wrócił po godzinie jakby nigdy nic i zasiadł do swoich sprawozdań. Gdy nieuchronnie wiadomość się rozeszła wszyscy zgodzili się, że nadmiar bólu pomieszał Krygielowi w głowie. Zostawiono go w spokoju.

Ludzie zaczęli gadać latem. Bożenka była w ciąży.

Po śmierci Tosia została u Krygiela, bo ów nie chciał jej pozbawić pracy, a tak naprawdę, bo bał się opustoszałego domu. Miała sprzątać i gotować. „I widocznie jeszcze coś na dokładkę” – komentowali kąśliwie sąsiedzi i współpracownicy Krygiela. Sąsiadów najbardziej intrygowało jak oni to zrobili: na stojąco? Ona na nim? No chyba nie pod nim, boć przecie on garbaty i kulawy, nie miałby siły nad nią wisieć. Swoją drogą aż dziw, że jeszcze może. Ładna dziewczyna, i młoda taka, to aż wstręt człowieka bierze jak sobie pomyśli, co on jej... Na pewno ją przymusił. Z własnej woli by nie chciała, bo i jak? Mało to chłopców jak się patrzy? W jej wieku? Dziewczyna jak ona przebierać by mogła. A tu staruch jeden, kuternoga. Wstydziłby się kulas dziewczynę biedną wykorzystywać. Do sądu go powinni podać!

Ciotka Bożenki włosy sobie z głowy rwała, gdy bratu do nóg przyszła się rzucić: „Oj, głupia jam, głupia. Moja wina, moja”. Lecz brat jej

splunął tylko, ramionami wzruszył: „Chciała, to ma. Niech se żyje z kulawcem. Ja w domu moim widzieć jej nie chcę. Już i tak dość ludziska gadają”.

To się stało w sobotę. Krygiel jak zwykle pojechał na zakupy. Tosiek siedział w dużym pokoju. Oglądał telewizję. Na jego kolanach Misia. Marysia miała segregować i pakować do lnianych woreczków płatki kwiatów, które jak co roku zebrała dla dziewczynek na procesję. Popołudniu przychodziła je odebrać sąsiadka.

Gdy Krygiel po godzinie wrócił do domu wniósł zakupy i poszedł do dużego pokoju. Miał dla Tosia jego ulubione czasopismo. „Dzięki tato. Mama jeszcze się bawi w kwiaciarkę – poinformował go syn. – Jest w swojej dżungli”. „Kupiłem dla niej pęk konwalii. Myślisz, że się ucieszy?” – Spytał Krygiel. Tosiek prychnął śmiechem – „ona by się nawet z patyków od ciebie ucieszyła”. „No to pójdę i jej dam te badyle”.

Marysia siedziała w swoim fotelu, tyłem do wejścia. Nad nią wystrzepiony liść palmy. Krygiel pomyślał, że pewnie już skończyła z płatkami i przysnęła, bo jej głowa spoczywała na oparciu. „Marysiu” – szepnął, ale żona ani drgnęła. „Marysiu” – powtórzył donośniej, lecz i tym razem najmniejszego ruchu. Jakies zwierzęce wewnętrzne przecucie ścisnęło mu gardło. „Marysia?” – w nagłych, konwulsyjnych podskokach zbliżył się do fotela. Dłonie Marysi leżały symetrycznie na kolanach. Oba przeguby grubo zabandażowane. W pierwszej chwili Krygiel nie zrozumiał, zawahał się, nie uwierzył. Dopiero niewielka czerwona plama na bandażu przenicowała w jego świadomości tunel zrozumienia. Odrętwiały, jak robot wpatrywał się w twarz żony, szukając w niej wyjaśnienia, lecz prawda skryta za zamkniętymi oczami Marysi miała na zawsze należeć już wyłącznie do niej. Na stoliku przed fotelem leżały dwa listy: jeden zaadresowany do niego, drugi do Tosia. Swojego, od częstego czytania mimowolnie nauczył się na pamięć. Tego dla Tosia nigdy synowi nie wręczył, ani nie przeczytał. Oprócz listów przy woreczkach pełnych kwiatianych płatków krótka notka: „Rysiu, przekaz proszę pani Kalicińskiej”.

Usiadł w drugim fotelu, przy Marysi. Bez myśli, próżny. Przed nim o brzeg rozbijały się fale ich morza. Mógłby przysiąc, że w tamtej chwili słyszał wyraźnie ich łomot. Nagle odurzył go zapach ściskanych

w dłoni konwalii, aż do mdłości. Zerwał się z fotela, szarpnął za klamkę okna, rozciążył je i cisnął w nie kwiatami.

Zdało mu się, że leciały w stronę ziemi bez końca.

Bożenka w ciąży wypiękniała bardziej jeszcze. Błogość nie schodziła jej z twarzy. Krygiel na potwarz wszystkim przechadzał się z nią pod rękę. Ona wpatrzona w niego jak w obrazek. On wyprostowany, aż garb mu się chował. Za nimi szmery zbulwersowania.

Wytrzymali do jej ósmego miesiąca, do czasu, gdy dowiedzieli się, że sąsiedzi zakładali się o to, czy dziecko będzie zdrowe. Potajemnie, w kilka dni się wyprowadzili.

Ich mieszkanie zajęła młoda para z dwójką dzieci. W oknach zamontowano żaluzje antywłamaniowe. Następnego dnia słońce pozbawione swojego zwierciadła zaszło chyłkiem, pospiesznie. Tylko na żaluzje jak kurz opadł smutek.

koniec

PAWEŁ PODLIPNIAK  
godło: „maniana\_forever”



I nagroda w kategorii poezji

*PAWEŁ PODLIPNIAK – z wykształcenia historyk, z zawodu dziennikarz. Laureat ponad 40 konkursów poetyckich. Autor tomiku poetyckiego „Aubade Triste” (wyd. MBP Radom 2010). Jego wiersze ukazywały się w czasopiśmie i tomikach pokonkursowych. Ma 44 lata.*

posuń mnie za daleko to nie jest modlitwa  
 kobiet zabitych cichcem w martwych od słów wierszach  
 może to postrzał głowy z której wciąż wypływa  
 koszenila jak nektar z ostatnich chwil czerwca

i okrzyk palcie ołów w dni niezamierzone  
 gdy świst łopat śmigłowców rozsypuje popiół  
 z ognisk co nagą ziemię zwęgliły pod szronem  
 brunatnym od dojrzałych ziaren kawy z boku

pułkownik cicho mruczy *madafakafares*  
 próbując zważyć napis namazany nocą  
 na drzwiach chat pierwородnych przez gorliwe straże  
 pilnujące dzieciaków buszujących w zbożu

posuń mnie za daleko to spóźniony lament  
 chórzystów czuwających z palcami na spustach  
 w cieniu oliwnych gajów zanim mrok popłami  
 rozszerzone źrenice szkliste niczym judasz

## ŚMIERĆ DEBBIE HARRY

*oczywiście, tobie*

E.A. Poe „Beczka Amontillado”

Za oknem grudzień, bramy domów stoją w ogniu.  
Gęsi wyrżnięte (wyrok wykonała jesień).  
Na miłość boską, Montresorze, lęk się kolebie  
na rozstajnych drogach. A w śmietniku leży  
strzaskane pudełko płyty  
– w nim fotografia blondynki o twarzy anioła.

Można mieć szklane wnętrze i wahadło zamiast uczuć,  
gaz w żyłach, który nie porusza pompy.  
Życie to tylko przejęzyczenie, trujący podtytuł wiersza  
napisanego z okazji Bożego Narodzenia.  
Odwróć z odrazą kartkę, Montresorze  
– głos blondynki utkwiał niżej, wśród odpadków.

Mocna jest cisza i rozchodzi się jak pleśń.  
Nasze ulice wciąż za głębokie,  
nogi za krótkie – więc utoniemy osobno.  
Śmierć nie ma wzrodu, Montresorze,  
kiedy zatraskuje drzwi do śmietnika  
– a w nim resztki anioła o twarzy blondynki.

## SINE SĄ NIEBIOSA, OBIETNICE KRÓLESTW

*Oto już jesień i pora umierać*

William Shakespeare „Sonet 71”

oto już jesień i pora umierać – szepcze Alicja, córka diabła  
(ma zsiniałe usta, jakby trzymała w nich wodną farbę,  
którą zacierała miejsca, gdzie ptaki modliły się w lecie).  
jestem zmierzchem, wiernym cytatem ojca  
tkwiącego pod ziemią w labiryncie kretowisk. mieszkam w górze,  
a ogrody wciąż do dachów przywiązane dymem.

zapach wędrownych ognisk kłuje ryby tuż nad linią żeber.  
za ten tatuaż zapłacę resztkami bajek i kryształem  
lapis lazuli. porcja gorzkości spływa na mnie każdego ranka  
z ramion zbitych na krzyż belek. sine są niebiosy  
i puste jak obietnice królestw, a mgła pachnie szlamem,  
stertami śliskich liści w parkowych zaroślach.

oto już jesień i pora osłuchiwanie pustych ściernisk.  
po mojej stronie bije serce uśpionego jeża,  
stroszą się łodygi ostów i pordzewiałe kolce  
cementarnych ogrodzeń. za nimi leży coś złudnie ciepłego,  
więc rozgrzewam usta szeptem  
– ojciec zabierz ode mnie swój gorzki pazur.

## GRA WYSTĘPNA

ojciec Alicji był kotem, miał jedynie uśmiech.  
znikał najbardziej wtedy, kiedy był potrzebny.  
matka utknęła w ciemnym pasażu karmiąc szczury  
i gołębie. żal to tylko gra wstępna – mówiła  
– gdy jest szczery. po nim każdy dzień przypomina  
pocałunek przed odjazdem w nieznane.

ojciec Alicji był okiem, kropką na końcu lunety.  
pod futrem miał las, który zmieniał ludzi  
w mięso wtłoczone między strzępy blachy.  
matka tańczyła swoje faux pas na brzegu talerza,  
grając na tamburynie dla spóźnionych gości.  
piosenka wrzała w niej jak liść herbaty.

ojciec Alicji był szczery, lubił krew baranka,  
wypijaną chylkiem w dworcowych zaułkach.  
matka zносиła wszystko, nawet kiedy prosił  
o ocet i przebicie dłoni. brakowało jej siły,  
by odmówić nad nim parę zaklęć, gdy ciało  
zdradzało ją z kolejnym przechodniem.

północ nigdy nie ulega łatwo – myśli Alicja  
burząc dom z kostek domina – ostrzy nas na zapas.

## MIRRA, KADZIDŁO I AŁUN

wśród nocnej ciszy bóg się rozchodzi niby fale sejsmiczne  
jedyń raz w roku – *podśpiewuje Alicja* – wtedy szczerze  
wracam do zimy tam pod wartkim śniegiem biegnę  
wtłoczona między pasażerów podmiejskich pociągów

a na peronie koczują królowie wioząc w walizkach  
mirrę kadzidło i ałun by zatamować wyciek dobrych nowin  
z jesusza który utknął po niewłaściwej stronie lustra  
jak świerkowa igła wdeptana w dywan utkany z wełny

może ktoś zrobi zbawcy pożegnalny tatuaż z niskim numerem  
zanim gorycz wytrawi ścieżki w skalistej wyżynie  
lecz teraz po torach znów płynie do mnie światło  
gwiazdy z podkulonym ogonem *canes venatici*

– wydłub je

RAFAŁ BARON  
godło: „Era przejściowa”

II nagroda w kategorii poezji



*RAFAŁ BARON – urodzony w Gdańsku, tam mieszka i pracuje. Tłumacz, wykładowca, krytyk muzyczny. Laureat konkursów poetyckich. Publikacje m.in. w: „Autografie”, „Obrzeżach”, „Arkadii”, „Frazie”, antologiach pokonkursowych.*

## NIGDY

Mógłby teraz być trzylatkiem z blond włosami, smugą żywego srebra. Gdy czasem przychodzi, słyszysz najpierw jak jego kroki chrzęszczą z tyłu głowy, w rozpadlinie wypełnionej gruzem.

Potem zdajesz sobie sprawę, że do twoich czarnych szortów, perłowych pończoch i wydekoltowanej bluzki przykleiło się na chwilę twoje ciało. Czasem jest tylko blizną zamiast ciebie.

Wejście do celi gdzie teraz siedzisz skulona jest zaminowane, więc chłopiec z blond włosami ogląda cię w weneckim lustrze.

Wciąż przychodzi tutaj na rozpoznanie.

## INFEKCJA

Dokąd tak jedziesz pikselu? Nieważny jak mgnienie szyb  
otwieranych okien w przedziale pociągu. To pośpieszny  
i najpewniejszy wariant ucieczki, lecz już na dwudziestym  
kilometrze jej miasto bierze cię szturmem jak wirus,  
dostaje się do środka i zaczyna rozrastać, coraz ciaśniejsze  
w środku wyssanym jak szpik.

Świat, który nieopatrznie połknąłeś od dworca po brzeg  
rzeki, gdzie odkrywaliście nową ziemię  
cały przedostał się do krwi, po krańce. Uciekasz,

lecz rosną w tobie jego rysy, sklepy, przystanki tramwajowe,  
parki, tamte sytuacje. Wewnętrzne miasto bez przewodnika  
puszczone samopas. Narośla kamienic w dusznych kanionach  
ulic. Na nich łańcuszki samochodów dostawczych jak obce ciała  
przynoszą złą nowinę:

Infekcja rozszerza się jak sprzężenie zwrotne.  
Gdy dotrzesz do domu dopadnie cię ostre zapalenie  
obrazów.

Będzie widać czarny dym. Znak, że nie znaleziono  
wyłącznika.

## PIEŚŃ

*Oto jest pieśń tej, która trzyma nóż:*

Zsuń się po ostrzu chłopcze bez cienia.  
Tobie to śpiewam, dla ciebie drżą mięśnie  
pod rękojęścią.

Zamknij oczy, rozkrzyżuj ręce, uwierz,  
że nie jesteś tym miejscem, jego załomami, ulicami.  
Nie jesteś sumą obcych słów i myśli,  
odbitym światłem.

Jesteś doskonałą pustką, którą mogę wypełnić  
tak jak chcę.

Więc chodź do mnie, bo ci, którzy nie mają cienia  
wchodzą aż po rękojęść.

## PRÓBA SŁOWA, PRÓBA ODDECHU

Wolę nie pisać. Zatopić słowa w chłodnej toni  
aż zmieniają skład wody na toksyczny i staną się  
ciężkimi metalami. Lecz zanim pociągną mnie na dno  
ja już będę na tętniących ulicach

milczeć. Stać na najbardziej ruchliwym skrzyżowaniu miasta  
pozwalając by wszystko przeze mnie przejechało  
i przeszło. Wtedy zobaczę, że świat tak naprawdę  
jest nieruchomy i porusza się tylko wtedy gdy my  
biegniemy wokół własnej osi. Wtedy mówi  
razem ze mną.

Więc milczeć. Mówić tak jak się oddycha. Wrócić  
do tamtego jeziora, być jego bezruchem, jednością  
choć przez kilka sekund. Widzieć spod przezroczystych tafli lodu  
drugie dna słów, schodzić w ich ciemność.

## PALCE

Niedzielny poranek. Pusto i cicho. Tylko ja  
i samotna kobieta na przystanku. Obserwuję jak czyta gazetę,  
przewraca strony, obserwuję jej palce.

W zupełnej ciszy słyszeć szelest papieru i widzę  
ruch jej dłoni jak na zwolnionym filmie.

Żaden dzień na tym świecie nie będzie bardziej przypominać dnia  
stworzenia

Jakbym stał na dnie morza w godzinie tuż przed przypływem.

Jakby istoty żywe jeszcze nie nadeszły, a wokół były jedynie  
fundamenty świata, białe kości domów, puste dopływy ulic

i tylko my, żywi-nieżywi, jakbyśmy dopiero mieli stwarzać  
nazwy, imiona, znaczenia.

Zaleją nas ich potoki rozmięgotane śladem  
wielu obecności, przemarszami obcych kształtów.

Wyjmij mnie z wody nieznajoma, jeszcze jestem  
przezroczysty, wciąż widać przeze mnie światło,

dotknij mnie, potrzebuję by ktoś dotknął mojego dna,  
a ty masz wystarczająco długie i piękne  
palce.

KAROL GRACZYK  
godło: „Wszystkie dachy Dachau”

III nagroda w kategorii poezji



*KAROL GRACZYK – laureat kilkudziesięciu konkursów literackich. Opublikował książki: „Oko i oko”, „Osiemdziesiąt cztery” oraz „Łowy”. Jego teksty ukazywały się w czasopismach. Dwukrotny stypendysta Prezydenta Gorzowa Wielkopolskiego. Współorganizator Gorzowskiego Festiwalu Poetyckiego Wartal. Wiceprzewodniczący Stowarzyszenia Literacko-Artystycznego „Polskie Podziemie Kulturalnie”. Ma 28 lat.*

## WPROWADZENIE DO SEMIOTYKI ŚMIECI

Przed chwilą chciała umrzeć, teraz przeszkadza jej zimno, więc klnie aż wędzną uszy, a uśmiech ma piękny. Dom słyszy swoje wnętrze, czasem do niej dzwoni szklankami i skrzypieniem parkietu, który rok temu kładli tu partacze. *Krzyż i krzyk różni się tylko wygłosem.*

Na dworze smutno wyją psy, choć smyczy nie znają, podczas biegu ich stopy gubią grudy ziemi, jak niemy film słowa. Trudno go przegadać, ciężko byłoby dorzucić coś do tego krajobrazu. Może podwodne życie ryb, które nauczą jak przejść przez morze albo mach powietrza. Ale to nie tutaj.

Jest już nieco cieplej, bo sąsiad lubi benzynę. Lubi też zapalić i akurat dzisiaj zgasił fajkę w kałuży benzyny. Amfilada jest stara, więc pali się chwilę, dogasa płomień, wynoszą trupy. Czarny kot przebiega wszystkie drogi, a kroczy własnymi.

## SEMANTYKA LIBACJI ALKOHOLOWEJ

Mamo, jest dokładnie tak, jak chciałaś  
mi powiedzieć, ale nie zdążyłaś. Na wojnie  
walczy się bronią, ale wygrywają ludzie.  
Zawsze się trafi jakiś meksykański impas,  
więc wygrywamy rzadko, zostanie nam

dotykanie się po swoich zmarszczkach.  
Póki co ciągle widzę twoje i próbuję  
powiązać w całość naszą wspólną drogę.  
Od połogu przez najważniejsze sprawy,  
jak pojedynczy uśmiech, zwyczajny dzień

za dniem; od tych śmierci, które nas zmieniły  
do ostatniej, jaka dotyczyła i ciebie i mnie.  
Teraz widzę, jak starość szybko się kończy,  
wepchnięta w drzwi, okna i kuchenny stół.  
Jestem twoim jedynym synem, więc czasem

tęsknię za tobą, podaję dłoń, patrzę, a ty  
nie istniejesz. Tydzień później łamię rękę.

## ŚMIERĆ W PEŁNYM SŁOŃCU

Świat dobrze się czuje we własnym towarzystwie,  
ma swoje powietrze, słońce, muzykę, bohaterów,  
nieskończoną ilość punktów odniesienia do samego siebie.  
Punkty odniesienia są mniej doskonałe, umierają młodo.

Od doskonałości dzielił cię brak wad i siódme okrążenie  
na pechowym torze. I kask, który zakładasz, żeby cię poznali  
Może jeszcze hamulce, problemy z kierownicą. Te wszystkie  
światła fleszy i służby ratunkowe chylące się bezradnie

nad pokrwawionym ciałem, pomyśl, co by było,  
gdyby zdjęcia potrafiły mówić. Drżący spokój,  
przegrana z tym, za czym się goni, niczym  
połamana szczeka lwa jednym kopem strusia.

Samo podjęcie próby ma w sobie coś z klęski;  
wiedział, że nie zdąży, a jednak biegł dalej, bo  
żeby chodzić po wodzie, trzeba zmoczyć stopy.  
To koniec. Senna stygnie, wiatr ucicha, rodzi się

legenda.

\* \* \*

Oboje wiemy mamó (bo taka kolej rzeczy),  
że spóźnię się do Ciebie o kilka miesięcy.  
Zawsze chciałaś, żebym napisał Ci wiersz,  
ale bliskość opisywanych zdarzeń nie sprzyja

ich nazwaniu. Teraz, kiedy jesteś tam, a ja tu,  
jest mi łatwiej. Droga do domu zawsze się wydłuża.  
Ostatecznie i tak spotkamy się jeszcze na zawsze.

Pozdrów tatę. Pamiętam jego mokre włosy  
na rękach układane w szereg, kiedy mnie kąpał.  
Kiedy najgorszym, co mogło się zdarzyć,  
było obcinanie paznokci i wczesne zasypianie.

## AGONIA I PSZCZOŁY

Śniłaś mi się dzisiaj. Właściwie rzadko mi się śnisz,  
ale zawsze w dobrym momencie. Nie wiem,  
co chciałbym w tym śnie osiągnąć: romans

czy romantyczną miłość, ale kiedy się śnisz, lubię  
wstać wcześniej i być jeszcze świeży, w ten sposób  
przez pierwszy kwadrans wciąż jestem we śnie.

I co teraz? Właściwie dawno już nic. Nie znamy się  
jak kiedyś, nie znamy się wcale. Moglibyśmy zjeść razem  
obiad, kolację czy śniadanie – tylko odgrzewane.

Czytanie w obcym języku przychodzi czasem łatwiej,  
więc czytamy w osobnych językach, w osobnych piszemy,  
inne mówią obok [fragment nieczytelny] odkąd kochamy się

osobno i nawet nie tęsknimy.

ANNA TLAŁKA  
godło: „kot w butach”

III nagroda w kategorii poezji



*ANNA TLAŁKA – nauczycielka, specjalista edukacji wczesnoszkolnej i edukacji artystycznej, pracownik jednej z kędzierzyńskich szkół podstawowych. Interesuje się psychopedagogiką twórczości, terapią pedagogiczną, literaturą. Publikuje w almanachach pokonkursowych oraz czasopismach.*

## WYLINKA

zdejmować z siebie światło po fragmencie.  
madonny plotą palce. w wiklinowych koszach  
niedojrzałe wytwory lędźwi.

fioletowo-zielone plamki snu na przedmiotach,  
skrawki zdarzeń zawieszone na sznurach. układy  
od do cienia, kwilenie piskląt.

pozostają odliczenia kosztów, fotele  
jak wańki-wstańki. napisany nocą artykuł  
o kocie w butach. świadomość czekania  
na zmianę skóry.

## PORZUCANIE OKRYĆ

hartowanie nieopierzonej skóry  
w chłodnych stawach – zabawy w chowanego.

w zakładkach wodorosli układanie pięter  
z kamyków – to co ważne jest głęboko pod,  
to co wystaje najbardziej podatne na wiatr,  
oddech człowieka;

być tylko sobą, gęsią czekającą  
na młode, kobietą zaszywającą puch.

## TRYWIAL

wańka-wstańka od zawsze motywuje mnie  
do dziecięcych wspomnień.  
mijanie punktów odniesienia – taki rytuał.  
niewiele mam siły.

grzebię w niekończącym się zbiorniku rzeczy  
widzialnych i niewidzialnych, zataczam kręgi,  
patrz!:  
mijam punkty odniesienia tak zwyczajnie.

na nowo czytam engramy wzruszeń.

### ZIELONE JABŁUSZKO

wspomnienie zapachu dzieciństwa,  
umyję się nim. połóż głowę na moim brzuszku, oddychaj  
zdechły podwórkowy kotku  
– puk, puk – szaro-bure obydwu, czekam,

nie lubisz cukierków? przyszyję ci guziki,  
może staniesz się misiem  
bez cholernych pazurków.

### UKŁAD WSPÓŁRZĘDNYCH

osie przecinają się w kluczowych punktach  
– zapamiętałem bażanty i zrastanie dróg.

porzucone miejsce odbija nowe światło  
– powołany do przybrania trasy noszę je  
ze sobą.

nie wiem, czy spotkamy się jeszcze  
po tej stronie jest trudniej o materiał  
na gniazdo dla ptaków.

teraz trzymam inną dłoń, jest mi do niej bliżej.

JANUSZ RADWAŃSKI  
godło: „Szargorigo”

wyróżnienie w kategorii poezji



*JANUSZ RADWAŃSKI – laureat konkursów ogólnopolskich, publikował teksty, grał na drumli na Łemkowskiej Wetrze w Żdyni w celu uzbierania na bilet. Mieszka w Kolbuszowej Górnej, zajmuje się pasterstwem i dziennikarstwem lokalnym. Ma 28 lat.*

## RYNEK W RONJIF

Robi zdjęcia, na których nic nie widać, same jakieś plamy,  
ale nie o to chodzi, jak się żyje w miejscu, którego w połowie  
nie ma, trzeba szukać swoich sposobów na komunikację  
z duchami.

Ona znalazła ten, i tak lepszy niż całej reszty.  
Oni widzą ostro, ich spojrzenia robią nawet rysy,  
więc ona stara się nie patrzeć częściej niż to konieczne w oczy,

bo jej szklą się często solą, a gdy jeszcze oczy  
za często od ziemi odrywa, to obrywa tymi świdrami za plamy  
na panieńskim honorze. A przecież najlepiej zna rysy  
i pęknięcia chodników, żadnego z tutejszych chłopaków chociaż  
w połowie

tak dobrze nie kojarzy jak ziemi, światła i całej reszty  
miejsc, w których nie widuje się z duchami.

Bo jak się mieszka w takim miejscu, to i duchy  
mają swoje sposoby na mówienie o sobie: nie pokazują się  
na oczy,

mają gdzieś jej zwichnięty obiektyw i starania całej reszty,  
żeby ich nie widzieć i o nich nie myśleć, nawet te plamy  
na jej zdjęciach to tylko taki lep na ludzi lubiących miejsca,  
których w połowie  
nie ma. Wydaje im się, że na tle takich miejsc lepiej widać  
szlachetne rysy

ich charakterów. Patrzcie, jak nas wzruszają światy rozpiędzone,  
rysy  
na rodzinnym portrecie i takie tam prztykanie się z duchami

ciemnych chłopów, czerwonogębых bab, całej tej połowy  
krewnych, przez którą przed gośćmi świecą nasze oczy.  
Więc z dwojga złego już lepsze te plamy  
na jej zdjęciach, na nich widać to, czego już nie ma, całej reszty

ona już nie wywołuje, jej chemia nie ima się całej reszty,  
nie ma chemii między nimi. Od jakiej rysy  
się zaczęło to pęknięcie? Nieistotność nieistnienia, pierwsze plamy  
na kliszach, które nie miały nic wspólnego z duchami,  
a przez to przecież miały, w ten sposób mówiły: „Mamy was  
w nienosach wasze oczy  
są do patrzenia na tę połowę

która jeszcze jest tego miejsca, którego w połowie  
nie ma. Więc patrzcie sobie na tę waszą resztę.  
Tak jak wtedy, gdy trzeba było patrzeć, odwróćcie od nas oczy,  
bo nie chcieliście, żeby schowały się w was choć rysy  
naszych twarzy. Nawet te słowa pisze za nas przybłęda  
podszywający się pod duchy  
więc niech wam starczy nasze niebycie, dziewczynka, jej zdjęcia  
z ich plamami”

Miejsce, którego w połowie nie ma z plamami  
zamiast reszty będzie kłuło wasze oczy,  
aż zrobi na nich rysy, aż na waszych zdjęciach też pojawią  
się duchy.

## NOC ŻYWYCH TRUPÓW

Lisy rozkopują baranie groby i jeszcze pełnia, więc jeśli chodzi  
o spanie tej nocy,  
to tyle. Psy, ich długie opowieści o krótkich łańcuchach i dwadzieścia  
groszy światła. Słucham tego jak dzieciaków w pekaesie do szkoły  
w Rzeszowie.  
Czują, że coś się dzieje poza ich zasięgiem. Większość nawet  
się nie dowie,  
gdzie są jego granice. Noc wydaje dwadzieścia groszy reszty.  
Zawsze zostaje garść drobnych, ogień rozmienny na ogniwa  
I jeszcze ziemia wydeptana na parę kroków, wytarta sierść  
na karku.  
Żelazne oczka, gdy przez nie spojrzysz, zobaczysz cuda. Powódź  
zapachów po zmroku, migotliwy kwarc piasku wokół budy, pod  
nim przestrzeń aż do środka ziemi.  
W blaszanym garnku woda lepsza od wszystkich napojów.  
Wycinek nieba, na nim jedna gwiazda, tylko twoja.

#### ROMANTICA. TREN

Lukowi Skywalkerowi – naród. Apaczom poległym  
w plenerach Jugosławii wdzięczni rodacy.  
Tyle fajnych klęsk i żadnej tablicy, a przecież krwi  
w wypiekach na twarzach dzieci należy się pamięć  
tak samo jak tej wylanej w bitwach. Ciemność wiekuista  
w oknach kina świeci fantomom i powidokom.  
Podkład z trzasku rozsychających się krokwi,  
cieszy oko mętne akwarium pełne rtęci.  
Przychodzę popatrzeć, jak Skywalker  
zostaje na pustynnej planecie, ostrzem motyki precyzyjnie  
wyluskuje spomiędzy młodych marchewek pyrz  
i nigdy nie patrzy w gwiazdy. Kłódka na drzwiach  
dopowiada zakończenia każdej historii. W obłokach  
kurzu promień latarki to ostrze świetlnego miecza.  
Nabieram powietrza z lakierem parkietu, takiego jak wtedy,  
gdy ojciec był w moim wieku. Prawie się mijamy.  
Mężczyzna wynoszący chłopca, który pod powieką  
zabiera obraz Apaczów w całej jeszcze Jugosławii.  
Plenery klęski, finta i sztych latarką ich nie zbawi.  
Jutro się rozstaniemy, spokrewnione widma.  
Gdy zaczną zdzierać dach, robi się tu widno.  
Szyld drogerii ekipa przywierci. Gdy zapalą świetlówki,  
ostatni raz wybuchnie gwiazda śmierci.

#### ELEGIA NA ODJAZD CYRKU „KORONA” Z TARGOWISKA MIEJSKIEGO

Trochę trocin i końskiego nawozu, bo przecież nie pamięć.  
Dla dziesięciolatków nie ma konkurencji z najnowszą strzelanką,  
no chyba że koń kogoś kopnie albo ktoś spadnie z trapezu.  
Ale gdzieżby te konie miały siłę jeszcze kogoś kopać?  
I kto miałby siłę na rozpacz pozwalającą puścić drążek  
pod szczytem namiotu, przy reflektorach? Więc nuda.

Trzydzieści lat z batem w ręku i w aureoli końskich kopyt  
śmigających wokół głowy, matki „Win pracuje artystom”  
o dwa tony wyższe od analogicznych opowiadań sąsiadek,  
tony nawozu wyrzucone z przyczep i na marne?

Cała nadzieja w dwulatkach wyciągniętych przez ojców  
sprzed MiniMini, żeby pokazać im koniki. One jeszcze patrzą,  
One mogą zapamiętać świszczący bat, może i człowieka  
na jego końcu. Win pracuje artystom. Jego sztuka jest o tym, że  
trochę trocin i końskiego nawozu.

## WESOŁE MIASTECZKO

I jeszcze tam, i jeszcze tam, i jeszcze  
Kolejka wozów strażackich, a potem  
Samochodziki. Jak jeździmy, barany?  
Karambole, kraksy, czarny punkt na deskach.

Chroń nas, wato cukrowa, gumowa bando!  
Tunel strachów kończy się światelkiem  
„Wyjście ewakuacyjne”. I po strachu.  
Nawet, gdy ląduję z głową na karabinie

Chodzi tylko o to, żeby złamać zapalną  
Nowa interpretacja układu lufa–kwiatek,  
Jeszcze łagodniej. Rumieńce błyszczą  
Jak neony nad kasą z żetonami

Dla sennych Ukraińców. Na szalach  
Kładziemy wszystko, na ich dłoniach jak tarki.

## SPIS TREŚCI

|                                 |   |                                                    |     |
|---------------------------------|---|----------------------------------------------------|-----|
| Karol Maliszewski               | – | <i>Krajobrazy Słowa: „ostre zapalenie obrazów”</i> | 5   |
| Izabela Wageman                 | – | godło: „No to sza”                                 | 7   |
| Małgorzata Stachowiak-Schreyner | – | godło: „Wszystkofobia”                             | 15  |
| Eliza Moraczewska               | – | godło: „czwarta rano”                              | 23  |
| Radosław Rak                    | – | godło: „Ajwenhol”                                  | 39  |
| Joanna Zakrzewska               | – | godło: „milla”                                     | 51  |
| Adrianna Daria Dziadyk          | – | godło: „biały kot”                                 | 61  |
| Paweł Mateja                    | – | godło: „Der Golem”                                 | 67  |
| Konrad Stanisław Kempa          | – | godło: „Kemkon”                                    | 81  |
| Renata Suchodolska              | – | godło: „renifer”                                   | 99  |
| Paweł Podlipniak                | – | godło: „maniana_forever”                           | 119 |
| Rafał Baron                     | – | godło: „Era przejściowa”                           | 127 |
| Karol Graczyk                   | – | godło: „Wszystkie dachy Dachau”                    | 135 |
| Anna Tlalka                     | – | godło: „kot w butach”                              | 143 |
| Janusz Radwański                | – | godło: „Szargorigo”                                | 151 |

## SPIS TREŚCI

|                                 |   |                                                    |     |
|---------------------------------|---|----------------------------------------------------|-----|
| Karol Maliszewski               | – | <i>Krajobrazy Słowa: „ostre zapalenie obrazów”</i> | 5   |
| Izabela Wageman                 | – | godło: „No to sza”                                 | 7   |
| Małgorzata Stachowiak-Schreyner | – | godło: „Wszystkofobia”                             | 15  |
| Eliza Moraczewska               | – | godło: „czwarta rano”                              | 23  |
| Radosław Rak                    | – | godło: „Ajwenhol”                                  | 39  |
| Joanna Zakrzewska               | – | godło: „milla”                                     | 51  |
| Adrianna Daria Dziadyk          | – | godło: „biały kot”                                 | 61  |
| Paweł Mateja                    | – | godło: „Der Golem”                                 | 67  |
| Konrad Stanisław Kempa          | – | godło: „Kemkon”                                    | 81  |
| Renata Suchodolska              | – | godło: „renifer”                                   | 99  |
| Paweł Podlipniak                | – | godło: „maniana_forever”                           | 119 |
| Rafał Baron                     | – | godło: „Era przejściowa”                           | 127 |
| Karol Graczyk                   | – | godło: „Wszystkie dachy Dachau”                    | 135 |
| Anna Tlalka                     | – | godło: „kot w butach”                              | 143 |
| Janusz Radwański                | – | godło: „Szargorigo”                                | 151 |



## Sponsor „Krajobrazów Słowa” od 2004 roku



WIELOBRANŻOWY ZAKŁAD ELEKTRYCZNO-BUDOWLANY

# ELBOR

47-232 Kędzierzyn-Koźle, ul. Królowej Jadwigi 25  
tel./fax 077/482 64 06, 483 83 28, kom. 0 602 64 11 30

### **Firma wykonuje usługi w zakresie:**

- wykonawstwa projektów elektrycznych, elektroenergetycznych i nadzorów,
- instalacji elektrycznych (nowe, modernizacje, remonty),
- linii elektroenergetycznych (kablowe, napowietrzne),
- rozdzielni elektrycznych,
- montażu maszyn i aparatów elektrycznych,
- pomiarów elektrycznych, instalacji odgromowych,
- linii i instalacji teletechnicznych,
- instalacji TV,
- instalacji logicznych (komputerowych),
- instalacji domofonowych,
- przecisków wykonywanych urządzeniem typu KRET,
- wszelkich prac budowlanych związanych z wykonywaniem prac w ww. punktach.



**Sponsor „Krajobrazów Słowa” od 2000 roku**



**Miejskie Wodociągi i Kanalizacja  
w Kędzierzynie-Koźlu Sp. z o.o.  
47-200 Kędzierzyn-Koźle,  
ul. Filtrowa 14**

**tel. 77 480 13 00, fax 77 480 13 23**

**e-mail: [mwik@mwik.com.pl](mailto:mwik@mwik.com.pl)  
[www.mwik.com.pl](http://www.mwik.com.pl)**